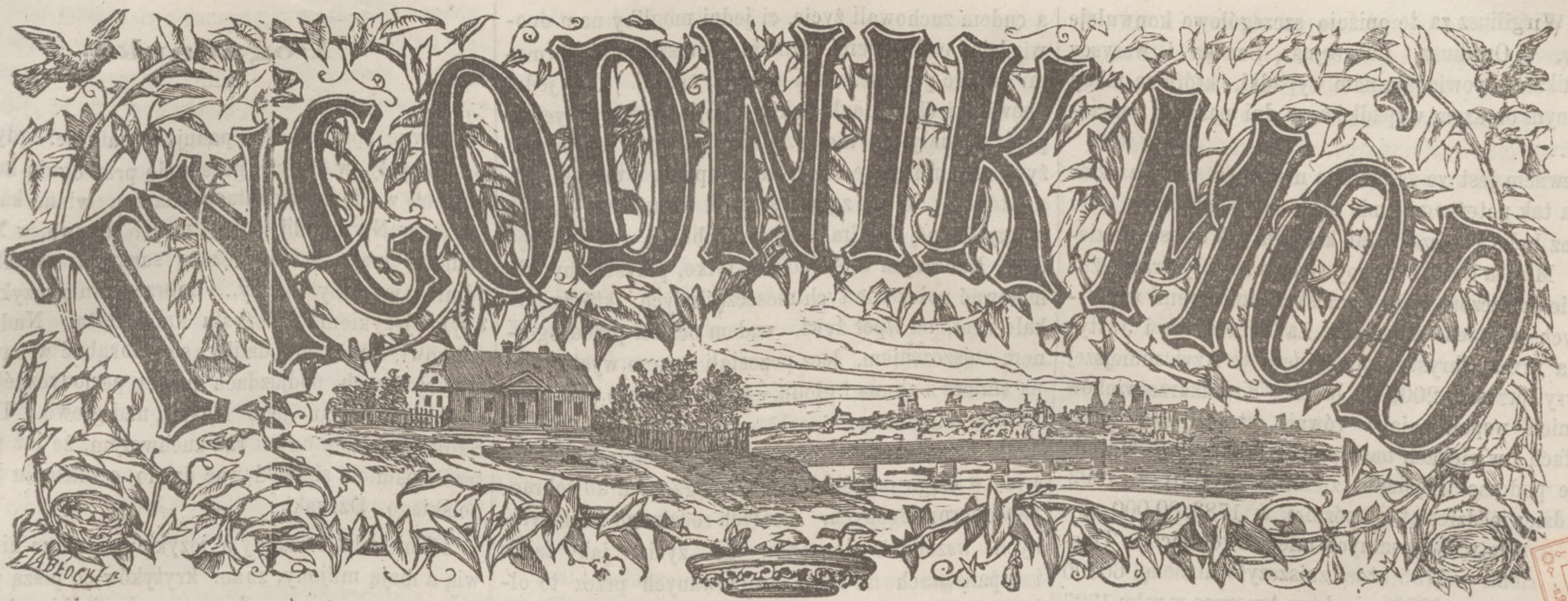
N. 22. WARSZAWA d. 20 Maja (1 Czerwca) 1872 ROKU.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

O TRZĘSIENIACH ZIEMI

I WYBUCHACH WULKANICZNYCH.

(Dokończenie.)

Skutki trzęsień ziemi nie ograniczają się na zburzeniu miast całych, jeszcze i grunt na znacznych przestrzeniach nieraz przekształcają zupełnie. Podnieść się on może, jakto miało miejsce w czasie okropnego trzęsienia ziemi w Chili, w 1822 roku gdy brzeg amerykański podniósł się na rozległości 200 mil naszych. Mogą ukazać się nowe góry, lub natomiast dawne runąć w jednéj chwili, zasypując, i równając doliny. Czasami grunt się rozpada, zostawiając po przejściu katastrofy, ogromne szczeliny nieraz na kilka mil się ciągnące. Mówiąc szczegółowo w następnym rozdziale o trzęsieniach ziemi w Kalabryi, podamy opis kilka takich rozpadlin z gwałtownego rozdarcia gruntu powstałych. Nie zawsze w jednym zostają one stanie, otwarte w chwili wstrząśnienia, zamykają się znowu, rozgniatając między swemi ścianami domy, które pochłonęły. Widziano w otchłanie takie nagle otwarte, zapadających się ludzi, których ciała, taż sama przepaść co ich pochłonęła, wyrzucała z siebie razem z potokami wody.

Zmiana w poziomie gruntu, w skutek podniesienia lub obniżenia wierzchnich pokładów, jest jednem z najpospolitszych następstw trzęsień ziemi. W 1819 w Indyach, pagórek na 20 mil długi a 6 szeroki, podniósł się wśród kraju zupełnie płaskiego. Jednocześnie lecz na znacznéj odległości ku południowi, cała okolica się zapadła, z wiosną i forteczką Sindra która została wodą otoczona. To co się na tak wielkiéj przestrzeni w Indjach stało, okazuje się ciągle na mniejszą skalę, przy każdem prawie trzęsieniu ziemi. Poziom dawniejszy bywa naruszony, a w skutek tego i bieg rzek nieraz się zmienia.

Przez rozpadliny w gruncie, w czasie tych gwałtownych przewrotów utworzone, wybuchają często rozmaite gazy, woda, a nawet płomienie. W Katanie w 1818, z takich rozpadlin, widziano jakby wodotryski gorącéj wody; w New-Madrid, w dolinie Missisipi roku 1812, słupy pary wodnéj, a w Messynie w 1782, błoto i dym czarny.

Podczas trzęsienia ziemi w Lizbonie, w 1755 widziano ognie i wielki słup dymu, wychodzące niepodal od miasta, z rozpadliny w skałach utworzonéj; im bardziéj wzmagały się wystrzały podziemne, tem więcej gęstniał i wyżéj buchał słup dymu. Przy trzęsieniu zaś ziemi w Nowéj Grenadzie 16 listopada 1827 roku, z rozpadlin gruntu wydobywała się niezmierna ilość gazu węglowego, który udusił mnóstwo zwierząt, wężów i szczurów w jaskiniach przebywających.

Wody w ten sposób z ziemi wydobywające się, często piaskiem zanieczyszczone bywają, zdarzają się nawet wybuchy suchego piasku, te pozostawiają po sobie małe okrągłe otwory, jak tego widzieć będziem przykłady w opisie trzęsień ziemi w Kalabrji.

Wydobywanie się gazów trudne jest do zbadania na powierzchni ziemi, gdyż gazy rozchodzą się w powietrzu, nie zostawiając śladu po sobie. Takie wybuchy mogą tylko być rozważane dokładnie, jeśli mają miejsce pod płynną powierzchnią. Czasem zdarza się przy trzęsieniach ziemi że morze jakby się gotowało i ogromne bąble pękają na powierzchni wody, co czyni widocznem wydobywanie się gazów podziemnych.

Opowiadania o trzęsieniach ziemi zdarzonych we wszystkich prawie krajach, a zapisanych w kronikach i pamięci wszystkich prawie ludów, stawią nam przed oczy oddzielne szczegóły tego wszystkiego cośmy tu w ogólny obraz ująć chcieli. Wszystkie nam mówią o rozpadlinach i przerwach gruntu, o przepaściach nagle się otwierających, w które zapadają wierzchnie warstwy ziemi, wraz z zabudowaniami wiejskiemi, lub całemi częściami miast. Wszystkie mówią o massach wody, dymu i pary wybuchających z tych otchłani, w płomieniach nawet, które niczem innem nie są tylko gazami palnemi, przez zetknięcie się z tlenem powietrza palącemi się. To znowu o pagórkach wśród równin występujących lub skałach pośród morza, albo o całych górach walących się w doliny, zmieniających postać okolicy górzystéj w płaską równinę, na któréj miejsce piętrzących się skał zastąpiły jeziora.

O rzekach znikających w otchłaniach i wysychających obszernych jeziorach, a natomiast w najsuchszéj okolicy o występujących obfitych źródłach, gdy dawniejsze źródła mineralne znikają, lub z gorących w zimne się zamieniają.

Skutki tak różnorodne trzęsień ziemi, dają możność wierzenia niektórym wypadkom, przez starożytnych pisarzy wzmiankowym. Któż dziś ośmieli się zaprzeczyć Pliniuszowi naturaliście, opowiadającemu, że Sycylja została oddzieloną od Włoch w skutek trzęsienia ziemi? Czyż przeciwnie wypadek ten nie ma za sobą wielkiego prawdopodobieństwa.

Któżby stanowczo zaprzeczył temuż autorowi, gdy on dodaje, że wyspa Cypru w podobny sposób została oddzielona od Syryi, Negrepont od Beocij i t. d. Czy można twierdzić, że nigdy nie egzystowała owa sławna Atlantyda, według tradycji egipskich w łonie wód morskich pogrążona, kiedy mamy do opowiadania fakta dzisiejsze zupełnie podobne? To co się dzieje dziś przed oczyma naszemi, tłumaczy nam to co się dziać mogło w czasach dawno minionych.

Opowiadania znajdujące się w dziełach teraźniejszych, są jakby powtórzeniem opisów katastrof które starożytność nam podaje, a które kronikarze i poeci opiewali. Jeżeli stary Homer, co dziwnem jest, nic nie mówi o trzęsieniach ziemi, choć za jego czasów ognie podziemne niszczyły Grecję i Azję mniej-

szą, Wirgiliusz za to opisuje szczegółowo konwulsje Etny, a Owidiusz, Lukrecjusz, Seneka i wszyscy kronikarze opowiadają nam wypadki, które są jakby wiernym obrazem wypadków za dni naszych zdarzonych.

Pewném jest ze żadna siła niszcząca, nie ma działania tak potężnego i nie może pozbawić życia tylu na raz ludzi i w czasie tak krótkim jak trzęsienie ziemi. Miasta Syryi i wyspy Grecyi zostały prawie zupełnie zniszczone wraz z mieskańcami swemi w pierwszych wiekach naszej ery. Za Tyberiusza i Justyniana przed Chrystusem, zginęło w Azyi mniejszej i Syryi przeszło 200,000 ludzi. Kronikarze wieków średnich wspominają o równie straszliwych katastrofach i wwiekach następnych: 60000 osób straciło życie podczas trzęsienia ziemi w Sycylji w 1693, a w dziewięćdziesiąt lat późniéj, w 1783, 80,000 zginęło prawie w tych samych miejscowościach. Trzęsienie ziemi w 1755 które zniszczyło Lizbonę, 60000 ofiar uczyniło, 40000 zginęło w Ameryce, w roku 1797 podczas trzęsienia ziemi w Rio-Bamba.

Nie zdziwią się więc nasze czytelniczki jeśli dodamy, że nic tak człowieka nie przestrasza, nic duszy jego nie napełnia takim niepokojem, trwogą, i zgrozą jak naturalny fenomen, którego obraz staraliśmy się przedstawić. Uczony badacz i znakomity pisarz, Aleksander Humboldt tak tłumaczy głębokie wrażenie i przerażający wpływ trzęsienia ziemi na umysł ludzki.

— Wrażenie to nie pochodzi, zdaniem moim, z przyczyny opisów strasznych katastrof, których pamięć przechowała historya, a które się wtedy tłumnie przed myśl naszą nasuwają. To co nas głównie przejmuje i przestrasza, to utracona nagle nasza wrodzona wiara w trwałość gruntu. Od dzieciństwa umysł nasz, nawykł do przeciwieństwa ruchliwości wody, a trwałości gruntu. Ciągłe świadectwo zmysłów bezpieczeństwo nasze zapewniało. Lecz grunt cały się poruszył, ziemia trząść się zaczyna. Jedna chwila niszczy doświadczenie całego życia. Jakaś nieznana potęga objawia się nagle, spokój natury był więc tylko złudzeniem: czujemy się być rzuceni gwałtownie wsród chaosu sił niszczących. Wtedy każdy odgłos, każdy powiew powietrza, ściąga uwagę, trwogę, boimy się zwłaszcza ziemi po której stąpamy. Zwierzęta nawet, zwłaszcza psy i trzoda chlewna w wysokiem stopniu trwogi tej doświadczają; krokodyle z Orenoki, zwykle tak milczące jak nasze jaszczurki, porzucają wstrząśnione łoże rzeki i rycząc przerażliwie uciekają w lasy.

(*Cosmos, tome I. page 243*).

Żadna katastrofa zaiste, nie rodzi w duszy ludzkiéj tak uzasadnionéj trwogi. Kiedy piszą, że 30 albo 40,000 osób straciło życie w trzęsieniu ziemi, ta krótka wzmianka nie może jeszcze dać wyobrażenia o nieszczęściach i cierpieniach bezpośrednich i pośrednich katastrofą spowodowanych. Seneka skreśla w następnych słowach porównanie pełne prawdy, pomiędzy niebezpieczeństwami z trzęsienia ziemi, a innemi klęskami wynikającemi:

— Przystanie i zatoki chronią nas przed rozhukanemi falami morza, dachy osłaniają przed burzą nawalnym deszczem, pożary nie ścigają uciekających, lochy i głębokie pieczary mogą służyć za schronienie przed piorunami i gromami nieba, zmianą miejsca unika się morowego powietrza. Nie masz niebezpieczeństwa na które środków ratunku by nie było. Lecz klęska trzęsienia ziemi, rozciąga się na znaczną przestrzeń, jest niezmierna i nieuniknionа. Jest to klęska powszechna. Nie tylko pochłania ona domy i całe miasta, lecz burzy całe narody i kraje.

— Ci którzy byli świadkami takiéj katastrofy, a cudem zachowali życie, ci jedni mogliby nam opowiedzieć pod jakiemi różnemi i straszliwemi formami śmierć przedstawiała się ich oczom. Oni jedni opowiedziećby mogli jakie okropne tortury wycierpieć musiały te nieszczęśliwe ofiary, zagrzebane żywcem, umierające z głodu, rozpaczy i wściekłości, a których aż do zgonu słyszeli straszliwe jęki nie mogąc żadnéj dać im pomocy, w braku rąk i narzędzi. Naocznym to świadkom tylko, przystałoby odmalować położenie tych nieszczęśliwych, którzy pokaleczeni, na wpół żywi, cudem ocaleli przed ogólnem zniszczeniem, lecz pozostali jeszcze wystawieni na śmierć z zimna i głodu, gdyż wszystko pod zwaliskami zagrzebane.

Do nich to należy mówić o majątkach zniszczonych w ciągu jednéj chwili, o bogaczach do żebractwa doprowadzonych, o całych rodzinach pozbawionych wszelkich sposobów do życia, jak także i o państwach na wpół zrujnowanych przez te olbrzymie klęski, o postępie cywilizacji i dobrobytu narodowego, zatrzymanego w swym rozwoju przez katastrofę która wywraca miasta, burzy porty, niszczy uprawne pola, zamienia w jeziora żyzne doliny, lub napełnia je rumowiskami pagórków okolicznych.

Nie potrzeba więc dziwić się słysząc mówiących, że ci co byli świadkami raz trzęsienia ziemi, najwięcéj obawiają się jego powrotu. Nic albowiem nie masz przesadzonego w podobnéj obawie, człek czuje się być w ręku potęgi nad wszystko silniejszéj. Pierwsze wstrząśnienie zwykle najstraszniejsze bywa, dwie, trzy sekundy dostateczne są, ażeby te klatki na ludzi co je miastami nazywają, obaliły jak liche budki z kart. I nic nie może uprzedzić, ostrzedz o zbliżającem się niebezpieczeństwie. Cisza nocy, spokojność dnia nie mogą być rękojmią przeciw téj okropnéj ewentualności, żadna zapobiegliwość, żadna przezorność ludzka uchronić od niéj nie może. Gdy raz nastąpi wstrząśnienie, niczém odwaga, niczém ostrożność lub zręczność, w ocaleniu życia. Wybiega się z ulic na wielkie place lub pola, ażeby się uchronić od walących się murów, a tu roztwiera się ziemia pod stopami uciekających i pochłania ich w bezdennych przepaściach nagle powstałych. Niedowierzając ziemi, inni chronią się na wody, dopadają łódek lub okrętów i na nich ocalenia szukają, lecz i tu fale wzburzone do szaleństwa, rzucają statki o brzegi i tłuką je w kawałki.

To też przy trzęsieniach ziemi nieprzeparte i usprawiedliwione uczucie najwyższéj trwogi, łączyć się musi do wszystkich strasznych okoliczności tą klęską wywołanych i zwiększać jeszcze liczbę ofiar. Do niéj to właśnie najlepiéj da się zastosować wschodnia powieść o świętym Derwiszu:

— Pewien święty derwisz z okolic Kairu zobaczył widmo idące ku miastu: „kto jesteś? zapytał widma. Jestem morowe powietrze. Gdzie idziesz?... —Do Kairu, ażeby tam zabić piętnaście tysięcy ludzi. Czy nie ma jakiego środka zatrzymania cię. Nie ma tak napisano. Idź więc, lecz bronię ci zabić jednego więcéj.

W kilka dni potem święty derwisz spotkał toż same widmo wracające z miasta. Powracasz z Kairu, rzekł Derwisz, coś tam uczynił?—Zabiłem piętnaście tysięcy ludzi. Kłamiesz! umarło ich trzydzieści tysięcy.

— Ja zabiłem piętnaście tysięcy, odpowiedziało widmo, inni pomarli ze strachu.

K.

Pogadanka.

Dziwne sprzeczności panują w naturze: gdy nas prażą upały, w Paryżu grzeją się przy ogniu kominkowym, w departamentach marzną wina, kartofle i żyta, w Normandji śnieg mrozi drzewa, w Monachium o mało że nie jeżdżą sankami, a w Algierji odmrażają nosy i uszy... dobrze że nie języki. O! z tym językiem to czysta kara Boża. Nudziarze naukowi, co za jotę daliby się porąbać w kawałki, w dorywczych podjazdach prassy perjodycznéj, często nam o psuciu jego klekczą nad głową. Doktór Skobel stał się nawet tak zuchwałym, że już po raz trzeci ośmiela się wydawać dzieło o skażeniu języka polskiego. Dziwak!

Znam ludzi co żadnym językiem dobrze nie mówią a mają miljony; znam krytyków co piszą polską francuzczyzną naszpikowaną niemieckim krojem, a uważających się za wielkich krytyków polskiéj literatury. I dobrze im się dzieje: pierwsi chodzą w złocie, drudzy pławią się w sławie, gdy ci co mówią, piszą a nawet i myślą jak Skarga, są najczęściéj hołyszami. Po co więc dzieło pana Skobla, na co i dla kogo wychodzi?

Gdyby uczyło czegoś realniejszego, brzęczącego lub procentującego, byłoby i w swojem miejscu i we właściwym czasie, ale chcieć naprawiać język, zdrowy, cały i gadający, to czysta manja godna skarcenia. Są jednak ludzie co i na to powstają.

Niedawno korespondent z Konińskiego, donosząc o zamiarze urządzenia w tamtejszéj okolicy prywatnych wieczorków literackich, robi uwagę, że to lepsze jak ploteczki i złośliwe przycinki, stanowiące zwykle zajęcie towarzyskich zebrań. 'Ot, drugi dziwak! Słusznie też zaraz ozwały się głosy, że kobieta zajmująca się literaturą nie może być dobrą żoną ani dobrą matką. Wprawdzie na zachodzie a nawet w Stanach Zjednoczonych, umieją to jakoś łączyć jedno z drugiem, ale to znane sztuczki i figielki zagraniczne. Nasze prababki zajęte kądzielą i apteczką... urywam nagle bo przeszłość według nowych teorji, to trup którego z mogilnéj ciszy nie godzi się rozbudzać.

Ploteczki jednak są rzeczą niezmiernie pożyteczną, złośliwe zaś uwagi to chodząca satyra naszych krzywizn moralnych. Można się z nich nieraz więcéj nauczyć jak z książki. Pominąwszy wiadomości powszedniego życia, że np. w Zielone świątki w Bielanach było 30,000 osób, a w kościele zaledwie kilkadziesiąt: że w Czerniakowie całe otoczenie świątyni roiło się modlącym tłumem; że w wycieczce do Częstochowy miejsca w wagonach szturmem zdobywano, a w powrocie spacerowym pociągiem pakowano jadących z biletami drugiéj i trzeciéj klassy do klatek dla bydła przeznaczonych: że wreszcie pomimo tego wylewu publiczności Warszawskiéj w okolice dalsze i bliższe, nie brakło tłumów w Szwajcarskiéj dolinie, Saskiéj kępie, ogrodom publicznym: Łazienkom, parkom i gajom Wierzbna i Mokotowa; otóż pominąwszy to wszystko, zkąd możnaby się było do wiedzieć jeżeli nie z ploteczki grzecznéj zwanéj wieścią, że w szkole politechnicznéj w Zurichu, obecnie uczęszcza kobiet na medycynę 24, siedem na filozofią, jedna na mechanikę, a jedna także otrzymała pierwszeństwo w językach starożytnych.

Jak się ta gorączka naukowa tych kilku dziesiątków, pomiędzy któremi i nasze znajdują się rodaczki, pogodzi z przyszłem ich przeznaczeniem jako żon i matek, nie chcę nawet tego dotykać. Czyż to nauka dla żon i matek jest koniecznie potrzebną? Jest ich przecie tyle co czytać nawet nie umieją,

a wreszcie małżeństwa zaczynają wychodzić z mody. Pan Załęski w Ekonomiście, dowiódł czarno na białem, że w Warszawie związki te corocznie zmniejszają się, że gdy w Kazaniu jedno małżeństwo przypada na 91 osób, w Paryżu jedno na 107, w Warszawie na 110 jedno małżeństwo wykazuje statystyka.

To jednak jest już książkowa wiadomość, złośliwa zaś uwaga wraz z ploteczką twierdzi, że przyczyną tego nienaturalnego wstrętu do tworzenia kółek rodzinnych, jest ze strony młodzieży zbyt wygórowana chętka posiadania i używania bez trudu i mozołu, a w pannach powłóczyste suknie, stanowiące miotły zbyt kosztowne na chude kawalerskie kieszenie. Ktoby wynalazł sposób pogodzenia tych dwóch ostateczności, wyrządziłby Warszawie wielką przysługę, byłoby bowiem więcéj wesel a mniéj kurzu i krztuszenia się. Że też na to zadanie konkursu jeszcze nie ogłoszono, a właściwiéj nie zawiązano towarzystwa przeciw —działającego.

Wieści twierdzą, że w Peszcie od kwietnia wychodzi czasopismo polskie p. t. Tygodnik polski, a w Nowym Yorku ma także być wydawane pismo polskie, miejmy więc nadzieję że może ci nowi redaktorowie więcéj od naszych okażą się praktycznemi. A nie braknie im czytelników, a nawet kto wie czy z czasem liczba ich naszych nie przewyższy. Ostatnie wiadomości bardzo szeroko rozpisują się o wychodztwie z Pruss zachodnich do Ameryki i to corocznie zwiększającem się. Różni różne temu przyczyny naznaczają, najważniejsze że się słucha, a nie słyszy, patrzy a nie widzi, uczy a nie umie.

Ot np. zewsząd podnoszą się głosy, bierzcie się do przemysłu, handlu i rzemiosł—napróżno! Każdy chciałby być zwierzchnikiem a nie buchalterem: dyrektorem warsztatów bez przejścia praktyki od ucznia i czeladnika. Wołają ujęcie się! i to napróżno. Jak tylko komuś kilka światełek choćby od łojówek szabasowych oświetli głowinę, jest zaraz gotowy krytyk pałaszujący wszystko na zrazy, a nauka idzie w kąt. Mówią: o to cudzoziemcy zagarniają środki dorabiania się fortuny; patrzcie, o to ten przyszedł pieszo a dziś ma miljony, tego znów manatki przywiózł pies do wózka wprzężony, a dziś rozpiera się w karecie, obsługiwany wygalonowaną służbą. Bierzcie się i wy do podobnych przedsięwzięć. Gdzie tam! każdy potwierdzi, nakręci głową, powzdycha i odrzeknie skrzywiony jak nieszczęście: ej! to nie nasza rzecz, na to trzeba urodzić się Niemcem.

Prawda, święta prawda! To też Niemcy...

Pod Radomiem jest niewielki folwarczek z dworkiem, otoczonym bardzo ładnym ogródkiem. Niektórzy doradzali uporządkowanie w celu urządzenia w nim publicznej dla Radomian przechadzki, wraz z kurczakami, piwkiem i herbatą. Ale jak to, szlachcic polski miałby zostać restauratorem zawadzającym cokolwiek o szynkarstwo. Niechże Bóg broni! to niemiecka sprawa! To też na prawdę przyszedł Niemiec, i zaraz zajął się pobudowaniem altan, bufetu, karuzeli, huśtawek, z podziwu roztworzono usta, zawołano: a! a! a Niemiec garnie grosze i sporo ich pewno nazgarnia. Ale spekulacje strącam w nicość, pył z nich nawet zdmuchuję i chorym, słabym i cierpiącym donoszę: że wyjechawszy z Warszawy o godzinie w pół do ósméj rano, przeleciawszy Pragę czeską staje się na drugi dzień około godziny czwartéj po południu w Karolowych warach czyli Karlsbadzie, wydawszy na kupno biletu i inne niezbędne potrzeby razem rubli 23. Co sam pobyt na miejscu kosztuje, zależy to od własnéj woli i usposobienia. Można żyć za dwa guldeny przez dzień cały, a można i dwa guldeny wydawać na sam tylko obiad. Drożyzny jednak należy się spodziewać wielkiéj, bo napływ gości bardzo znaczny, większy jak w roku zeszłym.

Ale, ale! W Saskim ogrodzie znowu nowem przejściem przerznięty trawnik. Starzy, zacofani ze smutkiem ledwo że nie z płaczem patrzą na te operacje swego ulubieńca. Zabawni! Zapomnieli, że w tem właśnie sztuka, aby mieć ogród bez trawy i krzewów. W lada wioszczynie, nawet na wale opasującym Warszawę murawy pełno, a w lada gaju nie tylko krzewów ale i drzew nie brakuje. Miałżeby wiec i nasz ulubieniec stroić się w tak ordynarne przybory? Nigdy! Radzimy nawet zupełnie trawniki skasować a drzewa w pień wyciąć jak już zrobiono z krzewami. Przysporzy to miejsca, i powietrznéj przestrzeni, a jeżeli już gwałtem zieleń potrzebna, to łatwo zastąpić stosowną dekoracją, która w tem będzie wygodniejsza, że da się zmieniać i przekształcać, gdy krzew, drzewo i murawa stojąc jak mur w miejscu, tworzą nudną strasznie jednostajność.

Teatr obdarzył nas trzy aktową nowością, pod nazwą: Trzy kapelusze, noszącą nazwę komedji. Prasa perjodyczna zrąbała ją i na śmierć porąbała, nazywając ramotą długą, nudną i niemoralną.

Trzy kapelusze, więc trzy akta, i cóż tu długiego? Roztargnienie i potrącenie sprowadzające przypadkową zamianę tych trzech kapeluszy, czyż mogą być nudne? Co do niemoralności, to przesada. I dwunastczniki i domyślniki niemoralnością nazywać nie można, wreszcie kiedy mamy Instytut moralnie zaniedbanych dzieci, toć trzeba się przecie starać aby mu na wychowańcach nie brakło.

Na zakończenie polecam artykuł pomieszczony w Gazecie polskiej w N-ch 107 i 108 p. t. Nowe i stare teorje, napisany przez pana Ludomira Szczerbowicza Wieczora.

Jest to bowiem praca zacna, sumienna i rozumna, nic więc dziwnego że znalazła przeciwników. Przeczytawszy osądzić łatwo, na jak nędzne stanowisko zeszła u nas krytyka.

Przegląd literacki.

(Dokończenie).

Autor *„Krótkiego studjum nad poetą niemieckim Henrykiem Hene"*. Stara się ten potężny talent scharakteryzować. Nie powiemy ażeby spełnił w zupełności swoje zadanie, ale rzecz to zawsze zajmująca. Heine, to już dobrze nam znajoma postać; nietylko wiele mamy jego utworów przełożonych, ale mnóstwo u nas wywołał, mniéj więcéj szczęśliwych naśladowców. Szyderstwo Heinego i gorycz, nieprzystają do poezji naszéj, to też i gładkie utworki, wierszem potoczystym składane, jego naśladowców, wyglądają jak sztuczne zielone listki, wystrzyżone udatnie z papieru, i na druciki nadziane w chęci naśladowania naturalnych. Żaden się przecie kwiat między niemi nie ukazał, któryby choć z pozoru prawdziwie nasze, wychodowane pod słońcem i rosą majową przypominał.

„Przedmiot, znaczenie, i cel geografii" (przez J. Kotkowskiego) jasno rzecz wykłada i pokazuje dzisiejsze pojęcie téj nauki, która w wychowaniu niedawno będąc w ostatnim szeregu, obecnie jedno z pierwszych miejsc zajmuje.

„Miłosierdzie — strona czynnéj potęgi miłości" i *„O materjalizmie w nauce i w życiu"* dwa artykuły jednego pióra, wskazują wytrawnego i zdolnego pisarza.

Z poezji pomieszczonéj w téj książce zbiorowej głównie i jedynie zwraca uwagę, przekład z *„Legendy Wieków!* Wiktora Hugo, ustępów z poematów *Ratber*. Tłumacz *Adam Pług*, cały ten utwór ma gotowy w swej tece, tu dał kilkanaście ustępów.

Udatny to przekład, odznaczający się zarówno wiernością jak i pięknym, poetycznym językiem.

Przywiedziemy tu mały ustęp.

„Co wieczór starzec dziecię wiedzie do kaplicy:
Dziecię modli się, patrząc cudnemi oczyma,
I wesoło o groby dziadka wypytuje,
A temu skra wilgotna błysła we źrenicy,
Drżąca ręka niepewne kroki podtrzymuje!
Idą pod facyjaty, pomiędzy kolumny,
Kędy rój Serafinów i rycerzów tłumny.
Każdy posąg, na odgłos poważnych ich kroków
Drży, i, rzekłbyś, pokłonem witają wśród mroków
Bohatérowie starca, a Serafy dziécię.

Czasami Izoreta, którą wdzięk jej strzeże,
Samiuteńka się wymknie poigrać o świcie,
Gdzieś na starą, co babką jej się zdaje, wieżę,
I co śród dzikich krzewów mięsza z gruzy swemi,
Romańskie opowieści z legendy Saskiemi,
Dziecinka, co ród cały dumny w sobie mieści,
Gdy z nienacka swą lekką stopką zaszeleści,
Płoszy kozła, co trawę skubie z rozpadliny,
A za nią, patrz już dziadek w ślad z modlitwą kroczy.

Bo jak tylko świt swoją purpurę roztoczy,
On już trwożny wnet szuka swej zorzy jedynéj.
Dziecię igra w poskokach, rwie sukienki swoje,
Z grobu na grób motyli ściga barwne roje,
Lub na chropawym słonku zadumane siada;
I dziecię poważnieje, a głaz się odmładza;
Dziecię z ruiną łączy dziwnej zgody władza,
Czas w nich całą puściznę po umarłych składa.

Do działu utworów poetycznych, należy *Misterjum* z dziejowych podań p. n. *Mysza wieża.*

W pierwszym zbiorowem piśmie wydanem w Kijowie 1870 r. *Kwiaty i Owoce*, było podane także *Misterjum: Twardowski.* Całość składać się miała z pięciu części, pierwsza tylko była drukowaną.

Przedmiot jak i obrobienie udatnym wierszem rymowym, zwróciły uwagę znawców, którzy radziby dalsze części tego misterjum poznać. *Mysza wieża*, pozbawiona jest tych wszystkich zalet, a treść z bajecznych dziejów wzięta, ani formą, ani myślą poetyczną, podniesioną niezostała.

Żałować potrzeba, że pan F. M. Ejsmont, nie postarał się o dalszy ciąg *Twardowskiego*, w czemby nie miał trudności, albowiem zdaje nam się, że obadwa te misterja, są jednego poety utworami. W obu też pismach pomienionych, obok młodych talentów, dawni pracownicy, znani dobrze w piśmiennictwie i dobrze zasłużeni, występują. Pomijając drobne wiersze i udatniejsze piosenki z muzyką, jak i powieść: *„Dobry uczynek."* oraz kilka w mniejszych rozmiarach artykułów, nie możemy przepomnieć: *Obrazka genialnego oficjalisty.*

Oficjalista! przypomina ową znakomitą powieść Adama Pługa, która tak zachwyciła wszystkich czytelników, a autora jéj postawiła wysoko w rzędzie naszych pisarzy; w téj gałęzi literatury, co się tak bujnie rozrosła i bujnym kwieciem okryła.

W skromniejszych rozmiarach jest ten obrazek, bo maluje tylko jedną postać pana Piusa herbu Doliwa- Chrząkalskiego, zwanego pospolicie *Kauzyperdą.* To oficjalista na dworze w *Nowosiołkach*, a dziedzinie *Jaxy Marcinkowskiego*, znanego pod

pseudonymem Antoniego Nowosielskiego. Figura to więc istnie z natury zdjęta, wydatna, typowa, a wybornie pochwycona i odmalowana.

Na tle tego obrazku, przesuwa się jak cień tylko pan dworu, i autor *Ludu Ukraińskiego*, a przy nim jak pajęczyna snują się wspomnienia, pierwszego obudzenia ruchu literackiego, jaki się pojawił *w Gwiaździe*. Góruje po nad tym wszystkim dzielny *Kauzyperda*, oficjalista, powołany z przeszłości zapadłéj do zmartwychwstania, potężnym zaklęciem mistrza słowa. Bodajbyśmy częściéj z podobnemi utworami pióra spotykać się mogli.

Wydanie *„Co Bóg dał"* ozdobione jest nutami i rycinami. W całéj publikacji widać staranność i troskliwość redaktora, za które należy mu się uznanie i podzięka.

W. T.

O ubiorach.

W dalszym ciągu naszego przeglądu nowości, zwiedziliśmy magazyn pani Józefy Kwiatkowskiéj, w którym dobór towarów jest wielki, i gust prawdziwie wykwintny. Pani Kwiatkowska uprzedziła nas, iż nie podziela zupełnie, dzisiaj tak powszechnie używanego, a zwanego „genre Pompadour" uważa go bowiem za mniéj dystyngowany; za to kostiumy w dwóch cieniach (à deux ton) lub jednéj barwy, stanowią prawdziwą cechę powyższego magazynu i tak: Kostium z „toile Vichi" écrue, ma u dołu spódnicy pierwszą falbanę marszczoną drugą plisowaną, te dwie falbany zakończone są podwójną wstawką białą z koronki „Bruges" ponad którą mieści się odznaczony falbanką plisowaną i wstawką, fartuszek okrągły. Tiunika długa podpinana z tyłu, na przodzie otwierana. Staniczek falbanką i wstawką ozdobiony, ma rodzaj bretelek, których końce z tyłu tworzą karoczek, rękawy paletotowe z dwiema falbanami do ręki. Kostium ten kosztuje rs. 45. Kostium z „Barège écru". Spódnica z gładkiego materjału, falbana z materjału w pasy białe, falbana ta obszyta falbanką taką jak spódnica; tiunika w pasy ubrana znowu falbanką z gładkiego materjału, plisowaną, zakończoną pliską. Bluzka taka jak spódnica; do niéj zrobiono krótką pelerynkę w pasy, na przodzie szalowo otwartą, zakończoną kokardą. Rękawy szerokie, pasek z kokardą. Cena téj sukni rs. 40.

Kostium popielaty do cieniu. Na spódnicy 4 falbanki w zęby, objęte rulonikiem, do góry na zakończenie dwie główki do cieniu i pliska. Tiunika ma plisę szeroką i frendzlę; kaftaniczek z kieszeniami na bokach, obszyty plisą, frendzlą i sznurami jedwabnemi które dane zostały od przodu pod rękaw aż do pleców.

Ubranie stanika dopełnia kołnierz marynarski. Rękawy bardzo szerokie z ranwersem, zakończone guzikami.

Stroju zwanego vêtement jest wielki dobór i to na różne ceny, bo począwszy od rs. 20 do 140.

Po téj ostatniéj cenie widzieliśmy vêtement z ciężkiego „gros grain" garnirowane koronką „Cambrai" i frendzlą z dżetami. Przód tiuniki otwarty, końce zaokrąglone, tylne bryty długie podpinane, koronka ułożona w ten sposób że zarazem tworzy karoczek kształtu muszli, zakończonéj sutą kokardą. Rękawy szerokie, ubranie na nich z koronki w kształcie muszli ułożone, i zakończone również kokardami ze wstążek; takież naramienniki. Vêtement z batystu Vichi. U dołu falbanka plisowana obszyta była gipiurą takiegoż koloru, główka tejże falbany została oddzieloną za pomocą także gipiurowéj wstawki ażur. Stanik na przodzie otwarty szalowo, garnirowany tak jak spódnica; karoczek zrobiony z szerokiéj falbany plisowanéj ułożonéj w ząb. Rękawy szerokie z falbaną, która na wierzchniéj części zręcznie bardzo podpięta kokardą aksamitną czarną; takież kokardy przystrajają stanik i spódnicę. Cena rs. 25.

Noszone są bardzo talmy rozmaitéj długości, jestto bardzo dogodny rodzaj okrycia, i ładnie ubiera. Talmy takie bywają robione z różnych materjałów, lecz za najpraktyczniejsze uważamy z czarnego kaszmiru podwójnego, oszyte plisami z czarnego gros de Naples'u i zakończone frendzlą. Zgrabny kapturek z tejże materji uzupełnia ubrania. Cena takiéj talmy z podszewką jedwabną wynosi rs. 26, bez podszewki rs. 20.

Szarfy „Mogador na tle czarnem, w pasy pąsowe, szafirowe i zielone należą do wielkiéj nowości i służą niemal do każdéj sukni.

Pani Kwiatkowska pokazywała nam także wielki dobór najświeższych modeli kapeluszy letnich. Jeden z nich zwany „Bajadère" bastowy wiązany. Główka otoczona była wstążką koloru „Vert mer" do cieniu, zakończona węzłem; z lewego boku wpięta egretka z tejże materji lecz w jednym kolorze, z prawego zaś pęk róż różowych. Returs z czarnego aksamitu, szarfy różowe.

Drugi biały bastowy, z podwójnym retursem, to jest czarnym aksamitnym, i niebieskim z gros de Naples'u niebieskiego. Cały kapelusz od główki przykryty jest długim welonem z czarnego gładkiego tiulu jedwabnego, który w tym roku jest najmodniejszy do ubierania kapeluszy. Z prawego boku umieszczono hijacynty koloru cielistego do cieniu, z lewego tuffy niebieskie. Szarfy niebieskie.

Trzeci ze słomy florenckiéj z retursem koloru „Regina" (fijołkowy) główkę okala podwójna riusza z materji tegoż koloru. Od boków, wstążki zawiązane z tyłu na węzeł; z dwóch stron róże blado żółte.

Czwarty prześliczny kapelusz z angielskiéj białéj słomy z retursem lila; główkę okrąża skręcenie ze wstążki lila i tiulu illusion żółtego, z prawego boku dano trzy duże stokrotki białe i kłosy ułożone w egretkę. Więcéj do przodu przypięto pióro lila; z tyłu pukle z crèpe de chine lila i tiulu żółtego. Kapelusz ten ma podwójne szarfy: jedne lila, drugie żółte, które się wiążą jedne z przodu drugie pod kokiem, a to wedle upodobania.

Piąty ze słomy bastowéj okrągły, brzeg miał objęty czarno, główka szalowo opasana była wstążką szarfowéj szerokości, związana do tyłu sutym węzłem, w który wsunięto gałązkę pączków róż. Na wierzchu zrobiono rodzaj buffy z materji niebieskiéj, pokrytéj różami różowemi, i amarantowemi, tudzież pióro spadało z tyłu do dołu. Cena kapeluszy jest rozmaita, modele zagraniczne od 25 do 50 rs. Kapeluszy tu robionych w magazynie pani Kwiatkowskiéj dostać można począwszy od rs. 8. Z materjałów na suknie widzieliśmy „Batiste Ecrue" szerokie na 1 ¼ w cenie od kop. 50, takiż materjał w pasy na vêtement od kop. 85 i pół. Materjał ten bywa w pasy we wszystkich kolorach zawsze jednak na tle écru. „Foulard laine" brązowy w dwóch cieniach cena kop. 85. „Toile de Chine" czyli tak zwany sułtan angielski z połyskiem, we wszystkich kolorach po kop. 90 za łokieć.

Z lekkich materjałów znajdują się: „Mousseline organdine" w pasy, do tego batysty gładkie służące do przystrojenia sukni. Cena za łokieć kop. 40.

Kretony ze szlakiem ciemniejszym lub jaśniejszym po kop. 35, perkale po kop. 35 do 50 i wiele innych wyrobów.

Różne wiadomości.

Upały. W dzienniku *Noworos. Telegraf* piszą pod 27 kwietnia, że upały ciągle się wzmagają; starzy mieszkańcy nie pamiętają takich upałów w kwietniu.

—W dzienniku *Kijewlanin* pod 29 kwietnia donoszą, że takiéj wiosny jak tegoroczna dawno nie pamiętają. Upał w cieniu dochodzi do 25 Reaumura. Deszczów, oprócz dwóch nieznacznych w połowie kwietnia, wcale nie było. Drzewa w ogródkach okryte są kwiatem. Ozime i wczesne jare zasiewy są dobre, ale mogą silnie ucierpieć, jeżeli potrwa susza.

— W dzienniku *Kronsztadz. Wiestn*. pod 2 maja donoszą, że niezwykłe ciepłe dni, trwające już od tygodnia, przedstawiają, według obserwacji meteorologów, zjawisko całkiem wyjątkowe. Tak naprzykład, raz w cieniu było do 20 stopni Reamura, a nawet w nocy temperatura nie obniżyła się niżéj 13 stopni. Taka wyższa temperatura w kwietniu była tylko raz jeden w ciągu bieżącego wieku, blisko 50 lat temu.

Oświecenie publiczne. Przy fabryce aleksandrowskiej (w obwodzie zabajkalskim), gdzie obecnie znajduje się urząd gminny obywateli wiejskich i zatrzymani są przestępcy polityczni. z inicjatywy byłego spawnika okręgowego i pośrednika polubownego p. Suszkowa, otwarta została 5 lutego roku bieżącego na koszcie publicznym szkoła elementarna żeńska, która mieści się w domu należącym do gminy. Miejscowi mieszkańcy przyjęli żywy udział w kształceniu płci żeńskiéj. Mieszkańcy wiejscy gminy aleksandrowskiej uchwalili wnosić co rok na utrzymanie szkoły 250 rub., a nadto przed otwarciem szkoły od różnych osób otrzymano 180 rub., i w dniu otwarcia 240 rub. Na początek przyjęto 23 uczenic, ale liczba ta powiększy się do 50.

Publiczne odczyty dla więźni.—Goniec urzędowy. donosi, że na ostatniem posiedzeniu komitetu opiekuńczego włodzimirskiego, naczelnik gubernji zaproponował aby nabyto wydane poszyty odczytów publicznych, mianych w tym roku w Petersburgu i rozesłano takowe do więzień i roty aresztanckiéj, a w miarę wydawania dalszych poszytów, sprowadzano je dla czytania więźniom w więzieniach i oddziale poprawczym, przez miejscowych kapelanów.

OD REDAKCJI.

Tygodnik Mód i Powieści wychodzić będzie i w trzecim kwartale r. b. pod tymi samymi warunkami.

Prenumerata pozostaje ta sama, a mianowicie kwartalnie w Warszawie rs: 1 kop. 50.

Na prowincji z opłatą pocztową:
kwartalnie Rs. 2.
półrocznie Rs. 4.

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać **wcześnie wprost do Redakcji** pod adresem J. K. Gregorowicza, Ulica Żabia N. 956.

KORESPONDENCJA.

Pani Żura: Funt bawełny Estramadura kosztuje rs. 1 kop. 50.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 22 r. 1872.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

(Dalszy ciąg.)

Jéj twarz była cicha i spokojna. A jednak ta twarz płakała, łzy lały się z pod rzęs jedwabnych, tak jak padają czasem krople z nieba, na którem jeszcze słoneczko świeci!...

Tak płakała Miranda!

Wszędzie i zawsze stała mi przed oczyma!

W domu nie było dla mnie żadnéj rozrywki. Ojciec czuł głęboką stratę przyjaciela i uśmierzał swój ból nieustanną pracą w gospodarstwie. Nie miałem żadnego towarzysza, żadnego przyjaciela, z którym mógłbym się jako tako rozerwać. Im więcéj szukałem samotności, tem bardziéj dolegał mi jakiś głęboki smutek, któremu nawet wyraźnéj nazwy dać nie mogłem.

I przypomniała mi się moja rola w dramacie amatorskim. Tam błędny rycerz szukał swojéj matki i siostry, szukał ich po samotnych kniejach i niedostępnych lasach... a czegóż ja dzisiaj szukałem?

Czego szukałem? nie mogłem sobie wyraźnie na to odpowiedzieć, ale fakt był, że szukałem!

Szukałem po polach, lasach i kniejach!.. Czyż mogłem tam znaleźć to, czego rycerz szukał?

Zagłębiałem się w niedostępne jary—schodziłem na dno przepaści ciemnych, bo zdawało mi, że tam może mi się objawi to, czego dla mnie w codziennéj rzeczywistości nie było!...

Ale w jarach i w przepaściach nic się nie objawiło, a Mirandy widzieć nie mogłem!

W tych samotnych wędrówkach przestraszyła mnie nagle wieść, któréj ksiądz proboszcz przyniósł pewnego wieczora do domu ojca.

Opowiadał, że do Jedlnéj ma zjechać siostra pana Mansweta, która w Petersburgu mieszka. Siostra ta ma wziąść Mirandę pod swoją opiekę do siebie na wychowanie.

Gdym to usłyszał, skamieniałem. Zimno straszne przebiegło mi przez serce, które w téj chwili bić przestało. ...

Pod pozorem, że jestem śpiący, wstałem od stołu i udałem się do mego pokoiku.

Nie umiem tego opisać, com przebył téj nocy. Krew uderzała mi ustawicznie do głowy, a zaledwie oczy z utrudzenia zamknąłem, straszne sny i widma przerażały mnie i pozbawiały oddechu.

Obrazy z mego młodego życia powtarzały mi się w snach moich, ale miały dla mnie tym razem jakieś inne tajemnicze znaczenie.

Raz widziałem ogromnego jastrzębia, który jak kamień spuścił się i spadł z wysokiego nieba na białą gołąbkę, która sobie piórka muskała! Widziałem jak struga czerwonéj krwi trysnęła z białego pierza gołąbki....

Drugi raz znowu wypadł z zarośli głodny, bury wilk i pędem biegł do małéj owieczki, która zagubiwszy matkę smutno patrzyła ku stronie, z któréj miała wyjść do niéj matka...

Nazajutrz doniósł mi Szymek, że czterokonny powóz pana Mansweta przejechał koło naszych kopców. Powóz ten wracał ze stacji pocztowéj i wiózł jakąś podeszłą jejmość.

Domyśliłem się natychmiast kto była ta jejmość. Nie miałem ani chwili pokoju. Szalone plany przebiegały mi przez głowę. Chciałem być w téj chwili rozbójnikiem, zrobić zasadzkę, porwać Mirandę i uciec z nią w najgłębsze lasy!...

Byłem w gorączce.

Jakim sposobem to się stało, sam nie wiem, ale w odludnym parowie przyszedłem do siebie, i poznałem, że idę do Jedlnéj!

Zatrzymałem się.

Po co tam idę, zapytałem siebie—czyż to stosownie będzie? Cóż powie na to pan Manswet gdy mnie ujrzy? Czyż już nie dosyć było dla mnie, że mnie raz przyjął jak podróżnego żebraka?...

Zawahałem się.

Dla czegoż nie mam pójść, pomyślałem po chwili, dla czegoż nie mam choć z daleka widzieć, co się tam dzieje? Czyż koniecznie ma mnie pan Manswet tam obaczyć? Czyż nie znam wszystkich krętych ścieszek i zacieni ogrodu, aby tam się skryć? A może uda mi się obaczyć Mirandę? Ona często przechadza się po tych ścieżkach, a być może, że tak samo jak wtedy wygląda przez żywopłot, czy do niéj nie idę?.. Tak, to być może rzeczywiście... a ja taki niewdzięczny, że dotąd ani mi na myśl nie przyszła taka wycieczka!... Być może, że ona w téj chwili przykłada rączkę do czoła jak ongi i tęsknem okiem patrzy ku drożynie.... Pójdę, pójdę—choćbym miał się spotkać z ojcem!

Po tym monologu ruszyłem dalej pełen otuchy i jakiegoś dziwnego wewnętrznego szczęścia!

Za pół godziny byłem już przy żywopłocie.

Spojrzałem ostrożnie do ogrodu.

W ogrodzie nie było nikogo.

Długa, ciemna aleja była zupełnie pusta. Tylko para białych gołąbków przelatywała po niéj tam i na powrót jakby się z sobą bawiły.

Scieżka po za szpalerem z akacji była także pusta. Tam nie było ani gołąbka ani żadnego ptaszka. Wszystko wyszło do słońca, które na początku jesieni, przygrzewało jeszcze od strony południa.

Postanowiłem wejść na tę ścieżkę.

Przelazłem ostrożnie przez żywopłot i skierowałem do téj ścieżki kroki moje. Serce mi drżało jakbym popełnił zły uczynek.

W zacieniu akacji odetchnąłem swobodniéj. Tu nie mógł mnie nikt zobaczyć, a gdyby jakie groziło mi niebezpieczeństwo, to miałem zapewniony odwrót do klombu, który zaraz za tą ścieżką przytykał aż do żywopłotu ogrodu.

Długi czas chodziłem tam i napowrót. Każdy szelest listka zapierał mi oddech w piersi. Nasłuchiwałem czy nie usłyszę kroków Mirandy, natężałem wzrok czy nie obaczę jéj fijołkowéj sukienki!.

Niestety! Tylko para białych gołąbków niepokoiła mnie nieustannie. Przelatywały one aleą, a migające ich białe skrzydła i szelest skrzydeł łudziły mnie!.. W alei nie było żywego ducha!

Sporo czasu ubiegło mi na tem oczekiwaniu.

Wreszcie usłyszałem kroki.

Ale nie były to kroki Mirandy! Odmierzone i jednostajne zdradzały człowieka podeszłego.

Rownocześnie jednak usłyszałem szelest sukni. Zaparłem oddech w piersi, wszedłem w głąb krzewów akacji i odchyliłem gałęzie, aby wygodnie spojrzeć w cienistą aleę.

Ujrzałem pana Mansweta w towarzystwie podżyłéj kobiety.

Gdy się do mnie zbliżyli, uderzyła mnie ostra woń paczuli aż się o mało nie zakrztusiłem.

Spojrzałem na kobietę i — wzdrygnąłem się! Była to szambelanowa.

To samo chmurne czoło, te same usta szeroko rozcięte a złośliwie zakąszone ten sam wzrok przeszywający, który na konterfekcie w narożnéj sali galerji tak zawsze nas straszył!.

Tak jest, to oryginał tego portretu, któremu oczy wtedy chciałem zakleić..

Tylko oryginał znacznie się teraz postarzał. Biały tynk grubo okrywał twarz, brwi były widocznie namalowane, bezzębne usta wklęśnięte...

Uczułem dreszcze na widok téj kobiety.

Tymczasem pan Manswet usiadł na ławie która tuż przedemną była, i zaprosił siostrę aby to samo uczyniła.

Szambelanowa zmiotła starannie bytystową chustką pył z ławki i usiadła.

— Kochana siostro, rzekł pan Manswet, chciałem właśnie kilka słów z tobą na osobności pomówić.

—Słucham cię bracie, odpowiedziała szambelanowa.

Rozmowa którą teraz słyszałem nie była dla mnie we wszystkich szczegółach zrozumiałą. Pamięć jednak moja młodzieńcza zachowała te szczegóły, nad którmi później nieraz rozmyśliwałem a które tym sposobem dotrzymały się aż do dzisiaj.

— Zapewne już z listu mego dowiedziałaś się, mówił pan Manswet, że tutaj chodzi mi o Mirandę.

— Oddawna oczekiwałam tego, odpowiedziała szambelanowa, i dziwiłam się jak możesz tak długo Mirandę zostawiać w tem otoczeniu. Cóż z niéj będzie, jeźli tak dojrzeje?

— Otóż własnie chodzi mi o to, aby tak niedojrzała, jaką jest dzisiaj.

— Czy ma jakie złe skłonności?

— Złe skłonności?.. zdaje mi się, że ich ma aż za wiele!

— Nie widać na niéj żadnéj dystynkcji!

— Najbardziéj mnie niepokoi, że z usposobienia przypomina mi nieboszczkę żonę.

— *Fi donc!* Co mówisz?

— Tak jest rzeczywiście. Gdy to spostrzegłem, obawiam się abym jéj nie przestał kochać!

— Kochać! kochać dziecię to wcale co innego jak niektóre matki pojmują! Kochać dziecię to znaczy zgotować mu dobrą przyszłość, a więc usposobić ją do téj przyszłości.

— Mam wielkie zaufanie w tobie. Twój takt i rozum, jakim dotąd kierowałaś się w życiu dają mi rękojmię, że rada twoja będzie dobra radą!

— Najprzód powiedz mi, co zamyślasz zrobić?

— Jednem słowem, nie chcę, aby w Mirandzie powtórzyła się matka. Dla czego? wiesz zapewnie. Przez nią nie mogłem na szerszy swiat wypłynąć, gdzie można było coś dla naszego rodu zrobić. Uśmiechały mi się zaszczyty i dygnitarstwa intratne, prezesowstwa przy różnych przedsiębierstwach — wreszcie mogłem nawet prywatne stanowisko moje podnieść do daleko wyższych stosunków, ale nieboszczka stawała mi we wszystkiem kłodą w drodze!.

— Prawda że nie była dla ciebie stworzona!

— Najprzód nie umiała być znaczniejszą damą towarzystwa. Ty wiesz co to w stosunkach znaczy

Umieć być damą, która w towarzystwie nie ginie, znaczy panować w tem towarzystwie. Stanowisko mężczyzny najczęściej zawisło od stanowiska żony, jakie taż w towarzystwie zajmuję. Tysiące ludzi niedobiłoby się ani zaszczytów ani honorów, gdyby ich żony nie umiały im ułatwić téj pracy!... Salon, przyjęcie, urządzenie służby—to atmosfera nasza która gdy innych wciągnie do siebie, powinna z nich dla nas zrobić niewolników! Tym sposobem wielkie domy łowią sobie satelitów, rozszerzają atmosferę i znowu łowią... aż się ujrzą na czele znacznéj grupy, która im służy i podnosi! Tego nie umiała matka Mirandy.

— Zkądżeby umiała? Tyle tylko świata znała, ile jéj z okna szlacheckiego dworku okazano!

Pan Manswet westchnął.

— Wiesz również kochana siostro, mówił daléj pan Manswet, że przy walce o jakąbądź karjerę napotyka człowiek mnóstwo rzeczy, które uwzględnić trzeba. Przedewszystkiem trzeba się do świata stosować a nie trzeba dla niego być zagorzałym Katonem! Słabości ludzkie wielką rolę odgrywają w dziejach znakomitych dygnitarzy, dla tego tych słabości nie trzeba się wypierać, jeżeli przez nie umiemy coś zyskać. Matka Mirandy nie rozumiała tego. Kiedy sławna Włoszka Verbeni w stolicy gościła i faktem było że względami wpływowych osób rozporządzała, zbliżyłem się i ja do niéj.. cóż to za scenę wyprawiła mi nieboszczka? Wszak przypominasz sobie ten nagły nasz wyjazd ze stolicy...

— Poczciwa twoja Natalka była zawsze kobietą małéj skali! Mój mąż jak wiesz spóźnił się do ślubu bo właśnie zamawiał „en petit comité” obiadek dla jakiejś baletnicy.. czyż miałam zaraz rozpaczać jak rozpaczała wtedy Natalka?

— A zresztą wiadome ci są moje kłopoty, gdy już dla miłego spokoju na wsi się zagrzebałem! Zawsze jakieś podejrzenia, płacze, spazmy, istna bohaterka romansu! Zamiast dopomagać mi do stanowiska na większym świecie, zrobiła ze mnie patrjachalnego opiekuna chłopów i dziadów, zakładając we wsi szpitale i szkółki!... Kiedy to wszystko sobie przypomnę, kiedy pomyślę nad tem, żem zaniedbał zrobić to, co byłem winien oddziedziczonemu nazwisku, to aż strach mnie bierze że już i życia jest niewiele, aby to jako tako naprawić. Cała moja nadzieja w mojéj jedynaczce.

Szambelanowa uśmiechnęła się z ironią.

— Trzeba więc jakoś dobrze tę jedynaczkę pokierować, rzekła po chwili namysłu.

— Właśnie o tem chcę z tobą mówić, odpowiedział pan Manswet.

Czas niejaki panowało głębokie milczenie.

Para białych gołąbków usiadła teraz tuż nad nimi.

— Obawiam się, ozwał się pan Manswet, aby w Mirandzie niepowtórzyło się to sentymentalne usposobienie matki, które tyle dało mi się we znaki!

— To zwichnęłoby całą jéj karjerę, odpowiedziała żywo szambelanowa, tem bardziej, że Miranda może nam posłużyć do rozszerzenia naszych stosunków. Jest piękna, przy należytem ukształceniu może znaleźć partję, która domowi przyda blasku.

Pan Manswet schylił się, wziął z ziemi kawałek suchéj gałązki i spłoszył nią gruchające mu nad głową gołąbki.

—Dziwna uczuciowość rozbudza się w niéj, mówił daléj, a z tą źle jest dzisiaj kobiecie.

— Nie tylko źle ale nawet niekorzystnie! Pasterskie czasy już dawno minęły, flet pastuszy i owieczki zeszły z pola, a kobiecie przedewszystkiem trzeba się dzisiaj obliczać z realnemi potrzebami życia. Zresztą kiedyż to bawiono się w idyllę? Bawiono się w idylę za czasów Stanisława Augusta, po dobrym obiedzie, po zagranicznych winach i likierach! Po wytwornéj uczcie przebierano się za pasterki i pasterzów i gruchano do siebie!.. Dzisiaj dzięki Bogu ludzie nie potrzebują grać komedji i przyznają się otwarcie, że nie są z mgły i eteru, i że to wcale nie jest szczęściem paść kozy i owce!

Pan Manswet roześmiał się.

— Wybornie to powiedziałaś!

— Kobieta powinna dzisiaj umieć wzbudzić afekta u wszystkich, którzy się do niéj w tym celu zbliżają, a gdy tego dokona, wtedy powinna z pomiędzy nich wybrać rozsądkiem i dobrą rachubą z zimnym tego, który jéj daje największą gwarancję rzeczywistego realnego szczęścia! A na czem to szczęście zależy, nie trzeba się pytać rozmarzonéj panienki o bladéj twarzy, ale zapytać się dojrzałéj mężatki, która najlepiéj na to odpowie.

— Ba—ale na nieszczęście są kobiety, które to szczęście inaczéj pojmują.

— Wszystko to zależy od wychowania. Przedewszystkiem nie trzeba chować młodéj panienki w świętéj nieświadomości tego, z czego składa się życie rzeczywiste. Nie trzeba jéj tego życia okazywać przez zasłonę gazową, jakto się praktykuje przy żywych obrazach na scenie gdzie wszystko jest tak piękne i cudowne... ale okazać jéj nagie prawdy tego życia i powiedzieć jéj, że tylko ogień bengalski te prawdy tak uroczo oświeca, który to ogień każdy sfabrykować sobie może!... Wtedy pozna sama że życie jest sztuką, a praktyka téj sztuki jest dla niéj jedynem szczęściem. Po za niem jest tylko ułuda fantazji, szał krótki, które tem są dla życia czem w zimie promienie zakrytego słońca! Prawda że wtedy słońce nad nami egzystuje, ale cóż nam po niem, kiedy nas nie grzeje? Któżby wtedy dla tego słońca chciał przestać w piecu palić?

— Mówisz jak kobieta z szerokim na świat poglądem! Oby moja Miranda kiedyś tak myślała.

—Mam nadzieję, że pod moją opieką to się stanie.

— Daj Boże, daj Boże! odpowiedział pan Manswet i powstał z ławki, bo właśnie aleą zbliżał się lokaj niosąc na srebrnéj tacy listy.

. . . .

Późnym wieczorem przyszedłem do domu.

Ojciec spojrzał na mnie, ale mnie nic nie powiedział.

Chodził długi czas po pokoju zamyślony.

Po wieczerzy wyjął list z kieszeni i rzekł:

— Pisze mi dyrektor z Warszawy, że przeistoczony system nauki wymagać będzie pewnego przygotowania. Chociaż więc czas ferji jeszcze nie ubiegł, żąda jednak od swoich konwiktorów aby się stawili i do nowych nauk należycie przygotowali.. Przygotowałem już wszystko dla ciebie, jutro pojedziesz.

Nic na to ojcu nie odpowiedziałem, chociaż domyślałem się, że tu chodzi o co innego.

Byłem nawet wdzięczny za to ojcu, gdyż zmiana horyzontu była mi w téj chwili bardzo potrzebną.

W osamotnieniu wiejskiem rozpalała się coraz więcéj moja głowa, myśli jak żar gorące biegały po niéj ustawicznie, serce kurczyło się z bólu jak robak zraniony—a na to wszystko tu na wsi nie miałem żadnego lekarstwa!

Instynkt zachowawczy kazał mi nawet cieszyć się z rozkazu ojca, bo wielkie miasto obiecywało mi tyle roztargnienia, pracy i zajęcia, że ból mój mogłem jako tako ukoić.

Tutaj i tak byłem już niepotrzebny. Mirandy widzieć nie mogłem, a co się stać miało, musiało się stać mimo mojéj woli!

Byłem zresztą dopiero młodzieńcem zaledwie. Przedemną był długi szereg lat nauki. Mirandę mogłem znowu za rok obaczyć, która i wtedy jeszcze byłaby—młodziutką dziewczynką!

Nic właściwie przez mój wcześniejszy wyjazd nie traciłem, a to co w téj alei słyszałem, było wtedy dla mnie tak jeszcze niezrozumiałem, że bynajmniéj nie widziałem w tem tego niebezpieczeństwa, jakie mi rzeczywiście zagrażało. Niebezpieczeństwo to przeczuwałem więcéj instynktem, niżeli mogłem je sobie wyrozumować.

Wyjazd do Warszawy kosztował mnie wprawdzie kilka łez skrytych, ale między dwojgiem złego należał on jeszcze do lepszego.

Z dobrą otuchą stanąłem u dyrektora pensji.

Za kilka dni przyszedł do mnie posługacz hotelowy, i wręczył mi podług adresu miniaturową książeczkę do modlenia.

Otworzyłem książeczkę, przerzuciłem kartki,—nie było tam ani literki napisanéj, ani jednego listka zasuszonego kwiatka.

— Któż ci dał tę książeczkę? zapytałem posługacza.

— Młoda panienka, odpowiedział, która dzisiaj rano ze starszą panią wyjechała do Petersburga.

Poczułem łzy w oczach i odwróciłem się, aby ani posługacz ani dyrektor tych łez nie widzieli!

XVI.

..Od tego czasu minęło wiele lat—pisał daléj autor „wizerunku”—i wiele rzeczy przeszło przez duszę moją.

Pierwszy rok wydawał mi się najdłuższy ale oraz i najrozkoszniejszy.

Najdłuższy, bo spodziewałem się, że na ferjach obaczę Mirandę—najrozkoszniejszy, bo w nim to budowałem sobie z kart najpyszniejsze pałace!

Dziecinna przyjaźń moja dla Mirandy przemieniała się już zwolna w marzeniach moich w uczucie miłości.

Marzyłem o niéj jako o osobie ukochanéj i łączyłem z nią to wszystko, co się w takim razie z młodą dziewicą łączy.

Wprawdzie do tego musiałem jeszcze iść przez różne stopnie, musiałem skończyć nauki i być czemś więcej między ludźmi, niżeli zwykłym człowieczkiem na małym majątku.

Wymagała tego odemnie Miranda, bo inaczéj trudno byłoby mi zbliżyć się do niéj!

Układałem więc sobie rozkoszne plany jakichś dróg niezwykłych, któremi miałem zdążyć do wymarzonego szczęścia!

Nie było zawodu którego nie przechodziłem w myśli, nie było dygnitarstwa, którego nie piastowałem choćby na krótki czas!

A to wszystko było takie łatwe, takie przystępne! Nawet geniuszem nie trudno mi było zostać, gdybym tylko był pewny, że geniusza nie może nigdy jego szczęście ominąć!

Takie marzenia pomagały mi wielce do pracy, bo w pracy téj widziałem cel tak piękny tak powabny, jakim była Miranda!

Z miniaturowéj książeczki modliłem się codziennie za nią i za siebie i błagałem Boga, aby nie gardził prośbą która była tak czysta i piękna!

Tak mi ubiegł rok pierwszy i nadeszły ferje.

Mirandy w Jedlnie nie było!

Przeszły ferje—rozpoczął się rok drugi.

Byłbym może niesumiennym malarzem „wizerunku”, gdybym utrzymywał, że rok drugi był podobny pierwszemu.

Serce człowieka nie może żyć w ustawicznéj ekstazie. Tak jak drzewo tylko raz w rok okrywa się pięknym, poetycznym kwiatem, tak i serce człowieka rozkwita szerokim kwiatem uczucia, który to kwiat potem zwolna blednie i opada!

Kto jednak zna dobrze naturę tego kwiatu, ten nie będzie się smucił nad jego zgonem, bo zgon ten jest tylko przejściem w owoc późniejszy.

Otóż tak samo stało się z mojem sercem.

Pierwszy kwiat uczucia, wybujały w listkach fantastycznych, począł powoli zwijać się i opadać.

Uspokoiłem się nieco i spokojniejszem okiem patrzyłem w przyszłość moją, której zawsze królową była—Miranda!

Nie będę z tem się tail, że po cichem zwierciedle mego serca przemknęły także obrazki, które do Mirandy nie były podobne. Jakim sposobem to się działo, tego dobrze wytłumaczyć nie umiem, ale wiem, że tak było.

Zawsze jednak odnosiła Miranda palmę zwycięztwa—wszystko znikało ztamtąd na jéj widok, jak znikają kontury dagerotypu na wejrzenie słońca!...

Gdybym do tego się nie przyznał, gdybym do samego ostatku idealizował mój wizerunek, dałbym bardzo fałszywe wyobrażenie o sobie i zostałbym kłamcą oczywistym.

Gdzie młodość tryska szerokim promieniem, gdzie życie wiruje w pełni swojéj siły i potęgi, tam bez walki w niczem się nie obejdzie.

Być może, że chorowite natury, przylepione jak polipy do krawędzi skały, zdolne są do powolnego trawienia jednéj i téj saméj myśli.

Zresztą w takich warunkach nie byłoby to ani moją zasługą, ani zaletą dla Mirandy. Gdzie nie ma walki, gdzie się nie zwycięża przeciwnych żywiołów, tam nie ma bohaterów.

Nie mówię tego, abym siebie wynosił na piedestał bohaterstwa, ale wspominam o tem, aby dać świadectwo, że nie tylko obraz Mirandy w mojéj duszy wiernie zatrzymałem, ale że nawet o to zatrzymanie zacięcie walczyć musiałem.

I właśnie, że do téj walki się przyznaję, powinno to być moją zasługą, gdyż nie robię z siebie anioła, ale maluję człowieka.

Co więcéj powiem! Z biegiem lat lśniący obraz Mirandy zaćmiewał mi się coraz więcéj. Zasuwały go codzienne troski życia, nowe horyzonty nauki, walka o byt w społeczeństwie, przystosowywanie się do ścian i granic, jakie tam napotykałem, szamotanie się młodzieńczego idealizmu z realistycznemi prawami—wszystko to zużywało często prawie wszystkie siły mego umysłu do tego stopnia, że wspomnienie Mirandy wydawało mi się snem tylko, snem złotym najpierwszéj młodości!...

Wtedy tylko jakby do cudownéj wizji podnosiłem oczy nieśmiało, i patrzałem z rozkoszą jak się patrzy na przebiegający po niebie meteor.

Meteor pyszny i uroczy, ale któż kiedy zapragnął, aby zatrzymał się na niebie i tam jak słońce od rana do nocy świecił?...

Przyznaję się, że czasami takim meteorem było dla mnie wspomnienie Mirandy! Bolałem, że ten meteor nie mógł na niebie zawisnąć, ale nie żądałem rzeczy niepodobnych!

Mimo to wszystko były jednak chwile w tych latach mojéj nauki, że wspomnienie Mirandy napełniło mi całe serce aż prawie do pęknięcia taką rozkoszą nieopisaną, że nie mogłem przypuszczać, abym kiedykolwiek bez niéj mógł być szczęśliwym!

I wtedy wierzyłem uparcie, że i ona mnie kocha, że właśnie tak silne z jéj strony uczucie działa na mnie niewidomie i zmusza mnie do tych egztaz,które mi tyle rozkoszy przynoszą.

W takiéj ustawicznéj oscylacji między rzeczywistością a idealizmem, płynęły mi lata nauki.

O szambelanowéj i Mirandzie nic się nie mogłem dowiedzieć bliższego.

Tyle tylko wiedziałem, że mieszkały w Petersburgu i ztamtąd po zagranicy różne wycieczki robiły.

Pewna znajoma dama, która je widziała u wód na granicy Hiszpanii, opowiadała, że Miranda, bardzo ładnie się rozwinęła, że jest piękna i rozumna i posiada wiele talentów.

Pan Manswet wyniósł się także za granicę, bo straciwszy partnera do wista, sprzykrzył sobie Jedlnę.

Wreszcie wyjechałem i ja za granicę jak tego sobie ojciec życzył.

Miałem tam chodzić na uniwersytet a mianowicie poświęcić się ścisłym naukom.

Usposobienie jednak moje kazało mnie szukać pokarmu duszy w sferze zbliżonéj więcéj do poezji.

Malarstwo, muzyka, literatura miały dla mnie więcéj pociągu od suchych, ścisłych nauk.

To też kilka lat przesiedziałem w mieście niemieckiem, obowiązkowo ucząc się nauk ścisłych, a z własnego popędu ćwicząc się trochę w muzyce i malarstwie.

Po kilku latach (miałem już wtedy lat dwadzieścia kilka) doszła mnie za granicą smutna wiadomość.

Ojciec mój umarł!

Wróciłem natychmiast do domu.

Jakże smutno było teraz w tym domu?...

Ojciec leżał na cmentarzu obok pułkownika....

Gospodarstwo podupadło....

Ojciec wiele wkładał w moją edukację, obdłużył znacznie mająteczek....

Dworek pochylił się, ściany pokrzywiły!..

Smutno, bardzo smutno mi było!...

Poszedłem do Jedlnéj.....

Ogród wyglądał jak pustkowie.... aleja główna zarosła dzikiem zielskiem!

Usiadłem na téj ławce na któréj rozmawiał przed kilku laty pan Manswet z szambelanową.

I dziwna jest pamięć człowieka.

Gdy téj rozmowy wtedy słuchałem, wiele rzeczy było dla mnie nierozumiałych. Prześlizgnęły się po moich nerwach mózgowych jak pusty wiatr po zwierciedle wody. Któżby wierzył, że te fale które po przejściu wiatru zniknęły do szczętu, przechowały w głębi wód swój rysunek fantastyczny i przy jasnym promieniu słońca znowu się odbiły?.

A tak stało się z moją pamięcią.

To co tam wtedy niezrozumiałe padło do jéj aparatu zachowało się tam, i teraz ze skrupulatną dokładnością na wierzch przed oczy duszy wystąpiło!

Przypomniałem sobie każde słówko, każdy giest pana Mansweta, każdy uśmiech szambelanowéj!

Zestawiłem to wszystko w całość i—nie zasmuciłem się!

Był to bowiem tylko program, a od programu do wykonania to jeszcze daleko, bardzo daleko!

Czyż można bowiem podług recepty urobić kogoś jakby rzecz martwą, stosownie do swojéj woli? Czy ten żywy materjał nie zadrgnie, nie ozwie się w ręku aptekarza lub chirurga, i niepodruzgoce mu jego retort i instrumentów?

Czyż Miranda mogła stać się tem, co z niéj zrobić chciał ojciec, w co ją zamienić chciała szambelanowa?

Dziwna jakaś rozkosz zmieszana z trwogą śmiertelną przebiegała moje nerwy...

Cieszyłem się na samą myśl zwycięztwa lepszych skłonności serca ludzkiego, a zaraz do téj uciechy przyczepiała się obawa, czy te skłonności nie upadną?..

Długo, bardzo długo siedziałem na téj ławce....

I teraz tak jak wtedy przelatywały aleą białe gołąbki, gruchały do siebie i przeganiały się, jakby mi tym obrazem powiedzieć chciały, że i w duszy Mirandy nic się nie zmieniło, że mimo chwastu, dzikiego zielska, wszystko tam pozostało, jak było przed laty!..

Wstałem z ławki.

Wszystkie drogi i ścieżki ogrodu jak mi wiele przypominały! Tu polanka, po któréj uganiał za nami nieboszczyk pułkownik, przedstawiając grenadiera francuzkiego pod Jeną?... Tu klombik, gdzieśmy oboje z Mirandą chowali się przed tym strasznym zwycięzcą Prusaków?... tu brzoza za którą stawałem i broniąc Mirandy strzelałem udaną rusznicą do srogiego adwersarza.. wszystko to jak wiele mi przypominało!..

Wszedłem do dworu.

Dwór stał teraz prawie pustką. W lewym pawilonie mieszkał dzierżawca, człowiek zacny i poczciwy, ale zajęty skrzętnie robieniem grosza.

Przyjął mnie gościnnie w izdebkach swoich.

Rozmawiałem z nim o różnych rzeczach tyczących się gospodarstwa, ale o Mirandzie nic pytać nie mogłem, bo jakoś żadne słowo nie mogło mi przemknąć się przez gardło.

Pomogła mi w tem żona dzierżawcy, która zostawiając rzeczy gospodarskie mężowi, wzięła na siebie rozmowę o ludziach.

Mówiła bardzo wiele o niedobrym charakterze pana Mansweta, który mężowi do żywego dopieka, tłómacząc niejasne punkta kontraktu dzierżawnego na ich niekorzyść. Utyskiwała, że prześladuje ich niegrzecznemi listami, które najczęściéj opierają się na bezczelnem szpiegostwie pozostałych sług dawnych. Daléj opowiadała, że pan Manswet przeniósł się do Wiednia, gdzie dla różnych spekulacji otworzyło się szerokie pole. Bierze tam udział swemi kapitałami w urządzaniu różnych banków i w wyzyskiwaniu kolei żelaznych, na które wydaje ministerstwo koncessje różnym ludziom, w parlamentarnym ustroju państwa jemu potrzebnym!..

I wiele różnych jeszcze rzeczy opowiadała mi żona dzierżawcy o ojcu Mirandy.

O saméj Mirandzie także coś wiedziała. Wiedziała, że w Petersburgu starał się o nią jakiś książę Zabałkański, bogaty w trzody i konie, ale jakoś rozeszło się to przy pierwszych krokach. Potem forytowała szambelanowa jakiegoś jenerała w dymisji, ale i to skończyło się na niczem. Większe nadzieje miał pewien baron kurlandzki umieszczony przy ministerstwie spraw zagranicznych. Według wiadomości żony dzierżawcy, była już nawet Miranda zdecydowaną przyjąć nazwisko barona, ale coś tam zaszło, przez co znowu wszystko się rozerwało.

Jeszcze wiele innych rzeczy podobnych opowiadała mi żona dzierżawcy, która jak widać bogaty w tym względzie miała materjał pod ręką, ale wszystko to kończyło się w jeden i ten sam sposób.

Miałem w podejrzeniu poczciwą kobietę, że należała do rzędu tych, którzy w różne ploteczki bawić się lubią. Ploteczki te prawdopodobnie pochodziły od sług dawnych Mirandy i pana Mansweta, którzy w ten sposób układali epopeję swojéj pani. Książe jenerał, pół-minister, wszystko to miały być osoby, które oświadczeniem swojem rzucały blask na piękną i bogatą dziewicę!...

Z drugiéj strony mogło w tem być coś i prawdy, tak jak we wszystkich wieściach, które wiatr roznosi.

Koniec jednak tego wszystkiego był, że Miranda dotąd za mąż nie poszła.

Koniec ten dał mi bardzo wiele do myślenia.

Pożegnałem dzierżawcę i wróciłem do domu.

Tu stanęła znowu przedemną nieubłagana rzeczywistość. Troski życia codziennego, kłopoty gospodarskie, potrzeby nagłe, którym koniecznie trzeba było zaradzić—wszystko to zatarło znowu wrażenie odniesione rozmową żony dzierżawcy.

Każdy dzień, każda godzina, każdy moment wołał na mnie, aby to i owo załatwić.

Z jednych pól potrzeba było prędko zbierać, bo ekomon groził deszczem, drugie trzeba było pod zasiew przysposabiać, budynki wymagały koniecznéj naprawy, arendarz żądał wybudowania spalonéj karczmy, leśniczy przytrzymał w lesie chłopa, który utrzymywał, że z siekierą do lasu wyszedł sobie tylko na przechadzkę, a co trzeba było przed sądem dopiero roztrząsać... słowem owe spilki życia codziennego, życia drobnego possesionata, ktory sam nie wie, czy jest dziedzicem mienia czy długów—poszarpały duszę moją na tysiączne cząstki i w każdéj z tych cząstek całem życiem żyć mi kazały!

Przyznacie, że pod takim ciężarem i Herkules mógłby upaść a cóż dopiero człowiek, który z wyżyn nauk uniwersyteckich zstąpił nagle w te kałużę realizmu, jak mi się zdawało, po moich idealistycznych marzeniach?..

Bądź co bądź potrzeba było zrobić kompromis choćby na czas niejakiś z rzeczywistością, która na żadną delatę zezwolić nie chciała.

Zasiadłem i obliczyłem się z memi siłami, jakiemi w tym świecie rzeczywistym rozporządzać mogłem.

Mająteczek był rzeczywiście w bardzo złym stanie.

Nie wiem, jakie plany na przyszłość miał ojciec ale faktem było, że utrzymując mnie za granicą czynił to na koszt kapitału.

To też kapitał zmalał teraz bardzo znacznie. Znaczne pożyczki ciążyły na tym kapitale, a gospodarstwo mianowicie w ostatnich latach, było takie, które wszystko ziemi brało, a nic jéj nie dawało.

Jakiś dziwny instynkt zachowawczy nie kazał mi pozbywać się tego majątku, który poczciwie żywił tylu przodków moich. Wprawdzie przodkowie moi nie mieli może tych potrzeb co ja, w prostocie patrijarchalnéj sami pracowali w ziemi, podczas gdy edukacją moją stworzono mi potrzeby, których może ten mająteczek nie był w stanie zaspokoić!

Mimo to, jak wyżéj powiedziałem, chciałem się trzymać téj ojcowizny, bo w niéj zawierało się tyle dla mnie drogich pamiątek!...

Zakasałem więc rękawy i zacząłem łatać restaurować, naprawiać, co się naprawić dało.

Stary arendarz przyszedł mi w pomoc i tak obaj krzątaliśmy się żwawo.

Przy takiem ustawicznem zatrudnieniu umysłu ustępywały w głąb wspomnienia najpierwszéj młodości, zasklepiała się powoli nowa tkanka życia realnego i byłbym może zniósł bez wielkiego bólu wiadomość, że Miranda za księcia lub ministra jakiego poszła i zakończywszy z tem wspomnieniem bezcelowem byłbym może odniósł nowe wrażenie, któreby mnie ostatecznie do portu życia zaprowadzić mogło!....

Przeznaczenie jedak żelazną ręką wiodło mnie na inne drogi! A być może, że to nawet nie było przeznaczenie, ale prosta konsekwencja tego, co we mnie było!

Zabiegi bowiem moje codzienne nie odniosły pożądanego skutku. Kilka eksperymentów gospodarskich nie powiodło się, staranne wyrachowania pozawodziły nie tylko mnie, ale i starego arendarza!

Niepowodzenia te napełniły serce moje bólem, a wraz z bólem weszło tam znowu wspomnienie Mirandy!..

I znowu chodziłem po polach, ale niepokój mój zawsze był ze mną!

Odwiedziłem również dzierżawcę Jedlnéj i z żoną jego po całych wieczorach rozmawiałem o różnych plotkach ludzi dworskich.

Zdawało mi się (niepowodzenia budzą w człowieku wiarę w rzeczy nadzwyczajne)—zdawało mi się, że jakieś przeznaczenie ciąży nademną, że to przeznaczenie różnemi drogami prowadzi mnie do marzeń o Mirandzie a usuwa wszystko odemnie, coby mnie od niéj oddalić mogło!..

Nawet niepowodzenia moje gospodarskie przypisywałem temuż przeznaczeniu, które w takim razie jedynego ratunku kazało mi szukać w moich wspomnieniach!

— Być może, mawiałem do siebie, że wszystko w mem życiu dla tego tak na opak idzie, aby mnie koniecznie zwrócić na drogę, która od dzieciństwa była już dla mnie otwarta!.. Być może, że Miranda kocha mnie dotąd całą duszą i to uczucie ciąży niewidomie nademną i niepozwala mi uspokoić się i wygodnie do odpoczynku położyć?.. Być może, że to wszystko tem się zakończy, że posiędę rękę i miłość Mirandy!...

Tak właśnie myślałem sobie słuchając różnych wieści o Mirandzie w domu dzierżawcy gdy na dziedzińcu odezwała się trąbka pocztowa.

Trąbka ta sprawiła na mnie dziwne wrażenie.

Zbliżyliśmy się wszyscy do okna.

Z wózka pocztowego zeskoczył właśnie młody, przystojny mężczyzna z twarzą przyjemną. Obok niego stał już na ziemi niemłody człowiek, gładko ogolony, z siwą czupryną na głowie, starannie przymuskaną jakby to była peruka.

Spojrzeliśmy z ciekawością na przybyłych, bo nikt z nas nie znał ich.

Dzierżawca wybiegł do nich na ganek.

— Chcę pomówić z dzierżawcą tego majątku, ozwał się do niego perukowy jegomość.

Młodszy jego towarzysz pogwizdywał tymczasem sobie i rozpatrywał się po dziedzińcu.

— Ja jestem, do usług pańskich ozwał się dzierżawca z widocznym przestrachem.

— Smiem pana upraszać, ozwał się grzecznie jegomość, abyś był łaskaw poinformować mnie o rozległości i dochodach tego majątku, gdyż widząc się w Wiedniu z panem Manswetem słyszałem od niego że ten majątek chce sprzedać.

Dzierżawca poskrobał się w głowę i spojrzał kilka razy na jegomościa z pod oka.

— Widzisz wielmożny pan, odpowiedział z widocznem zakłopotaniem—widzisz pan ja jestem tutaj niby dzierżawcą tego majątku i niby mam kontrakt na dłuższy czas a niby od pana Mansweta nie mam w téj mierze żadnéj instrukcji.

— To do rzeczy nie należy, odparł jegomość, między panem a panem Manswetem jest inna sprawa, prawdopodobnie nastąpiłaby w takim razie dobra bonifakacja, do czego z mojéj strony i ja przyłożyłbym się...

Dzierżawca poskrobał się po raz drugi w głowę.

— A zresztą, mówił daléj jegomość nie chodzi mi oto aby koniecznie ten majątek nabyć—mogę to samo uczynić w sąsiedztwie u księcia Jozafata, ale byłoby dla mnie bardzo pożądaną rzeczą, gdybym przez pańskie instrukcje mógł mniéj więcéj poznać jakość, i urodzajność tutejszéj ziemi.

— A co do tego to bardzo chętnie służę odpowiedział uradowany dzierżawca, bo co tutaj to przyznam się, że jakkolwiek majątek znaczny bo około tysiąca morgów saméj ornéj ziemi i lasów dwa razy tyle,.... łąk coś do czterystu.. jednak to wszystko...ale proszę proszę do pokoju!

Jegomość wszedł do pokoju a zobaczywszy mnie zawahał się trochę, co widząc dzierżawca rzekł prędko do jegomości.

— Pozwól pan dobrodziéj do mojéj kancelaryjki.

Młodszy jego towarzysz został tymczasem na ganku zkąd udał się do ogrodu, a przeszedłszy się kilka razy po alei zaczepił starego sługę pana Mansweta i z nim rozpoczął dłuższą rozmowę.

Zdaje się, że jegomość w peruce ujął sobie czemś czy właściwie uspokoił dzieżawcę, bo dzierżawca w dobrym był humorze, pokazywał podróżnemu różne książki gospodarskie, rozmawiał wiele o stanie majątku pana Mansweta a w końcu nawet obu przybyłych utraktował kawą prawdziwie wiejską, któréj dosyć nie mógł się nachwalić jegomość w peruce.

Ja tymczasem w drugim pokoju rozmawiałem z żoną dzierżawcy i nie chciałem w niczem przerywać interesów gospodarskich.

Po trzech godzinach wyszli obaj przybyli na ganek a jegomość w peruce rzekł do swego towarzysza po angielsku.

— Zdaje się że warunki są dosyć korzystne!

— W każdym razie można interes tentować, odpowiedział młody człowiek.

Pożegnali dzierżawcę i odjechali.

Od tego czasu minęło kilka miesięcy.

Czas ten upłynął smutno i powoli. Codzienne kłopoty trzymały w jakiéj takiéj równowadze zmysły moje żem nie został warjatem.

Powoli nabierałem przekonania, że nieboszczyk pułkownik niewielką wyświadczył mi przysługę, rozbudzając we mnie od dzieciństwa tylko serce i fantazją.

Umiałem czuć najwznioślejsze porywy serca, umiałem tworzyć sobie najpiękniejsze ideały życia i niemi w wyobraźni bawić się, mogłem nawet być bohaterem aż do poświęcenia się za piękną szlachetną ideę, ale nie umiałem walczyć z życiem codziennem, nie umiałem żyć tą prozą jego, która w zgrabnym ręku człowieka realnego tworzy pogodną i wygodną przyszłość.

Nie gniewałem się jednak za to na nieboszczyka pułkownika, bo on dał mi to co sam miał—a on nie miał także téj wygodnéj przyszłości człowieka realnego.

Żył ideałami całe życie, ideały zawiodły go, przecierpiał najboleśniejsze zawody duszy swojéj a w końcu nawet zawiódł go czysto na gruncie realnym oparty jego specyfik długiego życia, który bodaj czy nie ukrócił mu jeszcze dni jego!...

W tem rozdrażnieniu, w téj nieustannéj walce o plany dnia jutrzejszego, spadła nagle wiadomość do dzierżawcy, że szambelanowa wraz z Mirandą do Warszawy przyjechała.

Wiadomość ta odurzyła mnie.

Byłem już oddawna skłonny do wiary w rzeczy nadzwyczajne, jak każdy człowiek, który cierpi.

Teraz ta wiara malowała mi przed oczyma najpiękniejsze obrazy.

Czyż nie jest to przeznaczeniem, myślałem sobie, że przedmiot tyloletnich marzeń moich zbliżył się do mnie!... Czyż to nie wskazówka opatrzności, że ta kobieta mnie ominąć nie może?... Czyż nie wyzywa mnie sama, abym się do niéj zbliżył, zbliżywszy się wprzódy do mnie na pół drogi?...

(d. c. n.)

BOHATER PIÓRA

PRZEZ

E. WERNERA,

TŁOMACZONE Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Pan Alison! To pan jesteś? Zawołał Walter zdziwiony.

— Czyś pan zraniony? Rzekł Henryk sucho.

Walter podniósł rękę do czoła. Bardzo lekko. Jedna z pierwszych kul musiała mnie zadrasnąć. To nic nie znaczy.

Amerykanin nic nie odpowiedział, tylko wydobył chustkę z kieszeni i podał mu ją, przypatrując się w milczeniu, jak ten ją składał i obwiązywał czoło, z którego się jeszcze krew grubemi sączyła kroplami. Nie zrobił jednak najmniejszego poruszenia, ażeby mu swojéj udzielić w tym względzie pomocy.

Następnie Walter własną chustką obtarł zbroczone czoło i zbliżywszy się do niego, podał mu rękę dla podziękowania za wyświadczoną przysługę, lecz Henryk cofnął się niechętnie.

— Panie Alison! rzekł głosem wzruszonym. Wyrządzono panu wielką krzywdę dzisiaj wieczorem, a wyrządził ją własny twój rodak oczerniając pana przedemną. Ja większe miałem w panu zaufanie niż pan Atkins.

Henryk nie przyjął ofiarowanéj sobie ręki i odparł zimno. Panie Fernow miéj się pan na ostrożności przy całem swojem zaufaniu, bo ono o włos tylko nie zostało zawiedzionem.

— Ocaliłeś mnie pan, ocaliłeś z niebezpieczeństwem własnego życia! Wolni strzelcy mogli odkryć stanowisko twoje i na ciebie również uderzyć. Nie byłbym się tego nigdy spodziewał po zajściu i sposobie, w jakiśmy się przed dwoma godzinami rozstali. Na honor twój liczyłem wiele, na pomoc nie! Teraz nie możesz odrzucić mego podziękowania. Pomimo wszystkiego co nas rozdwaja, wdzięczność moja płynie z szczerego serca, i....

— Skończ już! przerwał mu Henryk głosem ponurym. Nie przyjmuję żadnych dzięków, a tem mniéj od ciebie.

Walter spojrzał nań ze zdziwieniem; postępowanie Amerykanina było dlań prawdziwą zagadką.

— Dzięki! powtórzył Henryk z szyderskim śmiechem. Wiedz pan że udawać nie umiem i za nim wysławiać mnie zaczniesz jako swego wspaniałomyślnego zbawcę, dowiedz się pierwéj całéj prawdy. Przyszedłem tutaj, nie żeby cię ocalić, nie! ja zabić cię chciałem! Nie przerażaj się tem panie Fernow. Miałem rzeczywiście ten krwawy zamiar; ta broń oto była na pana nabita; jeszcze jeden krok daléj, a byłbym cię zastrzelił. Podziękuj tylko téj napaści Francuzów; ona cię ocaliła, ona jedna tylko. Widząc sześciu ludzi rzucających się na ciebie jednego; widząc że mogłeś zginąć z ich ręku.....pospieszyłem ci z pomocą.

Głębokie milczenie nastąpiło po tych słowach. Walter stał spokojnie przez chwilę, wpatrując się bacznie w blade rysy Alisona, poczem przystąpił powtórnie do niego i jeszcze raz wyciągnął swą rękę.

— Dziękuję panu, dziękuję nawet po tak bolesnem dla mnie wyznaniu. Serce pana zawsze lepiéj przemówiło niż usta....i teraz mimo tego wszystkiego, nie możemy już być nieprzyjaciołmi dla siebie.

Henryk roześmiał się gorzko. Nie! pan ciągle zapominasz, że nie jesteśmy ludźmi jednéj narodowości. Według waszéj niemieckiej sentymentalności, powinnibyśmy teraz rzucić się w nasze objęcia i wieczną zaprzysiądz sobie przyjaźń. My Amerykanie inaczéj myślimy. Kogo raz znienawidzimy to już do ostatniej chwili życia, a ciebie, tu znowu twarz jego rozgorzała całą wściekłością tłumionego gniewu, ciebie ja nienawidzę, boś mi wydarł co miałem najdroższego na świecie. Nie myśl ażebym cię zwolnił z twojego przyrzeczenia, ażebym cię po wojnie miał oszczędzać; nie myśl ażeby Jenny kiedykolwiek twoją być miała. Ja mam jéj słowo, jéj przysięgę, i gdyby z téj miłości dla ciebie umrzeć miała, ona musi zostać moją żoną.

Walter spuścił oczy w ziemię, a w rysach jego malowała się straszna, niewypowiedziana boleść.

— Nie pomyślałem o tem rzekł z cicha. Chciałem tylko podziękować panu ale masz słuszność, panie Alison; my obaj jesteśmy zupełnie różnymi ludźmi, my się nigdy nie zrozumiemy. Żegnam pana, muszę iść daléj.

— Daléj? zapytał Henryk zdziwiony.. Ależ nie daléj w góry? Widziałeś przecież jak tu niebezpiecznie! Wolni strzelcy snują się wszędzie.

— Wiem o tem. O godzinę drogi znajdują się nawet ich główne siły. Muszę się przez nie przedrzeć jeżeli to być może.

Alison cofnął się i ciekawie spojrzał na niego. Sam jeden? i zraniony? Toż ta świeża utarczka przekonała już, że to niepodobna!

— Właśnie ta utarczka dodała mi odwagi; patrol szedł pod górę, więc moja droga może jeszcze będzie wolną.

— Bardzo wątpię. Idziesz na nieochybną zgubę, panie Fernow.

— W takim razie, i znowu dawny smutny uśmiech przebiegł po ustach Waltera, w takim razie uniknę powtórnego spotkania, a panu oszczędzę morderstwa w pojedynku, bo po tem co teraz zaszło, ja nigdy broni przeciwko panu nie podniosę. Jeszcze jedna rzecz, panie Alison, nie wiem, jakim sposobem przeszedłeś pan przez nasze czaty i nie chcę pytać o to, lecz domagam się pańskiego słowa honoru, że za mną nie pójdziesz daléj i powrócisz tą samą drogą, którą tu przyszedłeś. Przymuszony jestem żądać tego, a pan mi nie odmawiaj.

Henryk spojrzał ponuro przed siebie i odpowiedział: nie mam już nic do czynienia w górach i powracam natychmiast.

— Dziękuję i żegnam.

Odwrócił się i znikł w poblizkich krzakach. Henryk długo jeszcze patrzał za odchodzącym.

— I znowu idzie daléj pośród nieprzyjaciół z tą spokojnością i z tem okiem, przed którem ja niemal wytrwać nie mogłem. O! ten Niemiec! Zacisnął z gniewem obie pięści, dodając głosem przytłumionym. Mogę ją zniewolić do oddania mi swéj ręki, ale serce jéj pozostanie przy nim. Pojmuję teraz, że to inaczéj być nie może.

Wieczorem następnego dnia kapitan Schwartz przybył szczęśliwie do S. z całym swoim bataljonem do którego się i porucznik Fernow przyłączył. Potrzebowali oni całego dnia prawie do odbycia tego marszu, ponieważ musieli kołować aż przez E. ale przynieśli z sobą bardzo pomyślne wiadomości. Zaraz nazajutrz zrana, pułkownik ze sztabem swoim i pozostałą częścią pułku, wyruszył z L. by z dostatecznemi posiłkami odeprzeć nieprzyjaciela jeżeliby się jeszcze z wąwozów nie cofnął, i połączyć się w S. z dwoma innnemi oddziałami, celem udania się ztamtąd ku Paryżowi.

Zima już minęła; przeszło sześć miesięcy upłynęło między ową nocą jesienną, która dla niejednego życia tak stanowczą była, a dniem wiosennym, który dzisiaj cały swój słoneczny przepych nad miastem B. roztoczył. Sześć miesięcy pełne śniegów i lodów, pełne nowych krwawych walk, pełne nowych zwycięztw i tryumfów. Teraz straszne te zapasy zostały już skończone! Francja złamana w swoich ostatnich rozpaczliwych wysiłkach, pokonana w samem sercu własnego kraju, poddała się nareszcie nieprzyjacielowi. Osatnia wojna o Ren została skończoną, odtąd nowe granice osłaniać będą i Ren i kraj, który on przerzyna.

W ziemi nadreńskiej wypadły pierwsze błyskawice burzy wojennej, w niéj najwięcéj się lękano, najwięcéj modlono, bo tu największe groziło niebezpieczeństwo, to też ziemie nadreńskie były teraz pierwsze, które zwycięzców i obrońców swoich witać miały i jak niegdyś wychodzących najtkliwsze życzenia i nadzieje żegnały, tak teraz powracających, grzmiące okrzyki radości i wdzięczności spotykać miały.

Miasto B. nie pozostało także ostatniem w objawach radosnych uroczystości, jakiemi się wszystkie okoliczne miasta i osady do przyjęcia wracających braci sposobiły, i tu powiewały chorągwie z wież i dachów i tu drzwi i okna obwieszano wieńcami i kwieciem na cześć oczekiwanych wojowników. Dom doktora Stefana, zwykle najpierwszy w objawach radości z odnoszonych zwycięztw, należał teraz do liczby tych, które smutno i bez ozdób żadnych, z zamkniętemi drzwiami i zapuszczonemi żaluzjami, świadczyły, że w nich opłakiwano stratę jakiegoś poległego. Śmierć siostrzeńca i względy na bawiącą, tu jeszcze siostrę jego, nakazywały doktorowi i jego żonie pewne powstrzymanie się w ogólnéj radości mieszkańców. lecz ani smutek po poległym Fryderyku, ani wszelkie poszanowanie dla boleści panny Forest, nie zdołały doktora odwieść od uroczystego, chociaż prywatnego tylko przyjęcia professora, którego powrót na jutro był spodziewany... A ponieważ dom jego zewnętrznie w żadne przystroić się nie mógł ozdoby, przeto doktór potajemnie i tylko w towarzystwie swéj żony zajmował się od samego południa strojeniem pokoi swego ukochanego lokatora.

Właśnie doktór stał na samym szczycie wysokiéj drabiny, pracując w pocie czoła nad symetrycznem ułożeniem nieposłusznych jego woli końców wielkiéj girlandy, która nad drzwiami pracowni Fernowa jego imię wyobrażać miała. Pani doktorowa stała oparta o najniższe szczeble tejże drabiny, krytykując niemiłosiernie zręczność swego małżonka; widziała ona zwoje i floresy kwieciste to za nisko, to za wysoko: to chciała je mieć więcéj na prawo to na lewo, aż w końcu oświadczyła stanowczo, że całe nazwisko było zupełnie krzywo ułożone. Doktór zmieniał, poprawiał, pocił się i mruczał na przemiany. Nareszcie cierpliwości mu zabrakło.

— Ty z dołu nie możesz tego wcale ocenić, moje dziecko! zawołał urażony. Idź aż do drzwi samych i ztamtąd przypatrz się dobrze mojéj robocie. Tu idzie o ogólne wrażenie, a nie o matematyczną ścisłość wszystkich linij; ogólne wrażenie to grunt.

Pani doktorowa cofnęła się posłusznie napowrót, ale właśnie w chwili kiedy się o drzwi oparła, ażeby lepiéj ogólne wrażenie zbadać, drzwi otworzyły się nagle z zewnątrz, tak nagle, że niespodziewanie przybywający gość, przyjął w swoje objęcia upadającą sędziwą matronę, z okrzykiem trwogi i zdumienia.

— Panie kolego! zawołał doktór z wysokości dru-

biny głosem potężnego basu. Zatrzymaj się chwilkę przy drzwiach. Ot, tak! bardzo dobrze! A teraz, patrz, i powiedz mi: czy girlanda nie za wysoko umieszczona, i czy imię nie krzywo jest położone?

Doktór Behrend, do którego właśnie te słowa były zwrócone, spojrzał najprzód w górę, potem z dziwną niespokojnością, na wydzierającą się trwożliwie i wstydliwie z jego objęcia panią doktorową, a potem jeszcze, usprawiedliwiwszy się przed skromną niewiastą z całą skromnością dobrze wychowanego człowieka z tak niespodziewanego spotkania, na poczciwą robotę swego starszego kolegi.

— Bardzo pięknie, wybornie! ale....

— Wszakże ja ciągle mówię, ogólne wrażenie! Zawołał tryumfując starszy doktór, przybijając ostatnim gwoździem zwieszoną jeszcze nad drzwiami girlandę; poczem schowawszy do kieszeni szlafroka swój młotek, spuścił się uważnie z drabinki, by młodszego kolegę serdecznie powitać.

— Chciałem tylko zobaczyć, szanowny kolego, czy mieskanie Waltera jest mniej więcej przygotowane na jego przyjęcie, i z prawdziwem zdumieniem widzę jakieś uroczyste dla niego przyjęcie, bo nawet pan we własnéj osobie pracujesz nad....

— Pracuje nad przyjęciem *człowieka*!—Odrzekł doktór z głębokiem poczuciem własnej godności. Tu nie skończyliśmy jeszcze, ale pójdź pan do samego sanktuarium profesora, tam zobaczysz naszą pracę.

To powiedziawszy, wziął go za rękę i zaprowadził do pracowni. Owo sanktuarium profesorskie wyglądało dzisiaj rzeczywiście inaczéj jak wtedy, kiedy on w niem zwykle pracował. Widać tu było wszędzie ślady porządkującéj ręki pani doktorowéj:zielone firanki były szeroko rozsunięte, a przez otwarte okna wpływało do pokoju jasne olśniewające słońce wiosenne; biórko, ściany, nawet szafy z książkami były ozdobione kwieciem i wieńcami; słowem całe mięszkanie wyglądało bardzo uroczyście.

Szczególna jednak rzecz, że młody doktór nie bardzo zdawał się być tem wszystkiem uradowany. Spoglądał w milczeniu i z pewnym przymusem po pokoju, bąkał coś o gustownem urządzeniu i wielkiej uprzejmości, lecz w ogóle więcej przykro niż radośnie przyjmował te oznaki życzliwości dla swego przyjaciela.

Szczęściem, że starszy jego towarzysz pośród serdecznego swego zadowolenia, nie spostrzegł tego wcale. Nie prawdaż? mówił zacierając wesoło ręce. Zrobiło się to jakoś! Przecież nasz profesor nie wejdzie tak po prostu do mójego domu, który między wszystkiemi innemi ma pierwsze prawo powitać go uroczyście. Ma się rozumieć, że w mieście nie zabraknie mu na owacjach. B. chlubi się nim, jako swoim bohaterem i poetą, a studenci przepadają za nim. On też jedyny jest ze wszystkich tutejszych professorów co walczył. Kolego, mówię ci, że wszystko się tu zachwycało, kiedy wasze listy i wiadomości o nim przychodziły. Miasto, uniwersytet, wszystko brało się za głowy, a jego poezje, któreście nam przysyłali, to już jak ten złośliwy Atkins powiada, były prawdziwemi rakietami które starych i młodych do istnego szału przywodziły. Pan wiesz pewnie, że uniwersytet także się na świetne przyjęcie sposobi?

— Słyszałem o tem, ale radziłem tym panom ażeby się jeszcze nieco wstrzymali. Wielkie pytanie, czy Walter tu przybędzie.

Przerażony doktór o mało nie upuścił wazonu z kwiatami, który przed chwilą wziął do ręki.

— Czy on przybędzie? Mój Boże! Wszakże jutro spodziewamy się jego pułku z całą pewnością.

— Tak! Ale ja bardzo wątpię, czy Walter znajdować się w nim będzie. Według jego ostatniego listu, który dziś rano otrzymałem, zdaje się że w H. pozostanie, i wcale do B. na teraz wrócić nie myśli.

Doktór tak silnie postawił wazon na biórku, że aż podstawę jego utrącił. W takim razie powinni całéj surowości wojskowej użyć przeciwko temu upartemu człowiekowi i zmusić go do tego! zawołał z gniewem. Coś podobnego nigdy jeszcze nie słyszałem. Jako chory, jako na pół skazany pacjent wyjeżdża sobie, a teraz, kiedy jest zdrów, czczony i podziwiany od wszystkich, teraz kiedy powrócić winien on chce sobie w H. pozostać! Kolego, w tem coś być musi! Pan naprzykład otrzymałeś zaraz urlop i professor mógłby tu już dawno być z nami, ale on wyraźnie unika naszego miasta. Nie! w tem jest coś ciemnego. No! wyspowiadaj się pan.

— Ja rzeczywiście nic nie wiem, rzekł Behrend. Być może, że chce tych wszystkich owacyj uniknąć. Wiadomo panu, że on nigdy nie lubił występować wyżéj nad innych.

— Do licha! To niechże się raz tego nauczy! zawołał doktór z gniewem.

— W uczonym znosiliśmy jeszcze to lękliwe jego odosobnianie się, ale teraz kiedy pełnemi żaglami płynie po wieńce poety, wymawiamy sobie takie kaprysy!

Behrend poruszył głową wątpliwie. Nie zakładaj pan wielkich nadziei na poetyckiej przyszłości Waltera. Obawiam się bardzo, że on razem ze szpadą odłoży na bok swoje poetyckie pióro, zagrzebie się znowu w swoich książkach i po upływie jednego roku stanie znowu na takiem stanowisku,jakie na początku wojny zajmował.

— Tego on nie zrobi! Zawołał doktór przestraszony.

— Zrobi, jego usposobienie jest takie. Walter przy całéj swojéj genjalności jest niepoprawnym marzycielem; on ma tylko energję jednéj chwili. Tego rodzaju ludzie w chwili wzruszenia i natchnienia mogą wszystkiego dokonać, ale skoro im tylko tego bodźca zabraknie, wpadają znowu w swoje zwykłe marzycielstwo. Codzienne, zwyczajne życie nic w nich obudzić nie jest zdolne, bo oni go po prostu nie rozumieją.

— Piękne widoki! powiedział doktór przechadzając się po pokoju.

— Co się w takiéj uczonéj i poetyckiéj głowie roi, tego żaden rozsądny człowiek jak każdy z nas wyobrazić sobie nie umie.

Behrend zamyśliwszy się wyjrzał oknem do ogrodu gdzie śród krzaków i kląbów, przesuwała się powolnie jakaś ciemna suknia kobieca.

— Tak jest, jemu brakuje bodźca do działania, dodał poważnie.

Brakuje mu téj energicznéj, palącéj siły, któraby każdéj chwili stała przy jego boku, przywoływała go do czynnego życia, występowała pomiędzy nim i rzeczywistością, za niego walczyła ze światem, któraby jednem słowem dała mu to, czego on nie posiada, to jest dumę i ufność w sobie. Gdyby on to miał, sądzę, że przyszłość czekałaby go świetna, lecz jeżeli do takiego charakteru przyłączy się jeszcze nieszczęśliwa namiętność...

Tu doktór stanął nagle i ze zdumieniem spojrzał w oczy mówiącego. Nieszczęśliwa namiętność! Na miłość boską, przecież nasz profesor nie jest zakochany!...

Behrend ugryzł się w usta. Ależ nie! Nie wiem co mi przyszło do głowy, proste przypuszczenie.

Stary doktór nie dał się jednak zbyć tak łatwo. Nic z tego! Wygadałeś się kolego, teraz mów prawdę. W kim profesor jest zakochany? Od jakiego czasu? Dla czego ta miłość jest nieszczęśliwa? Może to jaka Francuzka? Przeszkody ze strony rodziny... Nienawiść narodowa. Czy tak?

— Nic o tem nie wiem, szanowny kolego.

— Jesteś pan nieznośny ze swojem wiecznem nie wiem, mruknął Stefan. Pan wiesz o tem doskonale, i przecież mojéj delikatności mógłbyś zaufać...

— Powtarzam panu, że myśl moja była istnem przypuszczeniem. Pan znasz dobrze skrytość Waltera, do mnie nigdy ani słowa o tem nie powiedział. Zresztą proszę pana usilnie, ażebyś z tego mego gadulstwa żadnego nie zrobił użytku, i przypadkiem pani doktorowéj...

— Mojéj żonie? Doktór spojrzał na drzwi, które były jednak zamknięte. Broń Boże! Onaby cały ród niewieści naszego miasta do szaleństwa przywiodła. Profesor i tak już wyrosł na bohatera w oczach naszych kobiet, a gdyby go jeszcze aureola nieszczęśliwéj miłości otoczyła, to zginąłby chyba pod brzemieniem romantycznego z ich strony współczucia. Ktoby to był pomyślał o naszym skromniutkim uczonym, kiedy siedział tutaj spokojnie przy swojem biórku, a ja mu kazania prawiłem, że w nim nic już więcéj ani na ciele, ani duchu zrujnować nie można! Potem idzie sobie na wojnę, bije się, pisze poezje, kocha się... Nie, to nie do uwierzenia!

— Muszę pana pożegnać, rzekł Behrend pragnąc, nareszcie przerwać tę rozmowę. Przebaczysz pan że dzisiaj dłużéj bawić nie mogę.

— Idź pan! odpowiedział doktór niechętnie. Z pana nic wydobyć nie można; ale, niech tylko profesor przyjedzie, natrę ja mu uszów.

Młody lekarz uśmiechnął się. Sprobuj pan; ja robiłem już wszystko co można, ale z tym chorobliwym smutkiem jego trudno sobie poradzić.

I wyszedł, a Stefan pozostał bardzo niezadowolony i kwaśny. Radość z powodu tych wszystkich uroczystych projektów i przygotowań, zatruły mu dopiero co powzięte wiadomości i sam myślał już teraz w duszy, że profesor jeżeli przybędzie, nie będzie zdolny ocenić tak pięknie obmyślanego przyjęcia. Przepadła cała niespodzianka; od śmierci Fryderyka wszystko już szło na opak!

Zgon synowca boleśnie dotknął doktora i jego żony, i smutnym bardzo był dla nich dzień, kiedy ten którego jako sługę z domu wyprawiali, potem, jako ich najbliższy krewny, w trumnie do nich powrócił. Żal, który pannę Forest ciągle dręczył i w którym dotąd uspokoić się nie mogła, był i dla nich niemniéj dotkliwym, pomnąc zwłaszcza, że oni to tak długo i troskliwie poszukiwane dziecię własnéj siostry, na którego wynalezienie tysiące zostały daremnie obrócone, mieli we własnym domu, nie dawszy mu najmniejszéj nawet cząstki tego, co mu się tak sprawiedliwie należało. A jednakże poczciwy chłopiec i za tę odrobinę doznanej od nich życzliwości był zawsze tak wdzięcznym. Zawsze jeszcze brzmiały im w uszach słowa jego serdecznego pożegnania: Tyleście mi państwo dobrego świadczyli w ciągu tych trzech lat, jeżeli powrócę, odsłużę wam uczciwie, jeżeli nie, niech wam to Bóg zapłaci! I nie powrócił.

Ale, ktoby się też był domyślił, że ów Fryderyk Erdmann, którego professor do B. z sobą przywiózł, był zniknym Fryderykiem Förster! Nazwisko, które przybrani rodzice mu nadali przeszkodziło odkryciu, a powtórna zmiana tegoż nazwiska, stała się dla niego jeszcze zgubniejszą. Gdyby jego siostra była powróciła do domu swych krewnych jako Joanna Förster, byłoby to może jéj brata, który wiedział przecież że jego rodzina znajdowała się w Ameryce, naprowadziło na jakieś objaśnienia któreby wszystko wykryły; cudzoziemskie imię i nazwisko Jenny Forest, uczyniło to niepodobnem, a podrzędne stanowisko Fryderyka dokonało reszty. Ktoby się tam biednego sługi wypytywał o koleje jego pierwotnego nazwiska; zaś professor Fernow któremu

jedne i drugie były wiadome, skutkiem swego pustelniczego osamotnienia zanadto stał daleko od doktora, ażeby ten miał mu się zwierzać ze swoich stosunków rodzinnych i poszukiwań, które Jenny, mając zwłaszcza Atkins'a do pomocy, przy swojéj samodzielności niechętnie przed wujem objawiała. Pożądany, zbawczy przypadek, który jednem słówkiem, jednem znakiem mógłby był rodzeństwo objaśnić, nie zdarzył się tu wcale; stanowcze słowo dopiero w godzinę śmierci było wyrzeczone. A może też było to coś więcéj niż prosty przypadek. W każdym razie, bogaty spadkobierca Forestów, prócz nazwiska ojca i prócz wspaniałego pomnika, jaki na grobie jego wzniesiono, nic więcéj na świecie nie otrzymał. Na wszystko inne było już zapóźno.

Stosunek pomiędzy panną Forest a jéj krewnymi był teraz jeszcze prawie zimniejszy niż pierwéj; ona przynajmniéj ze swéj strony, nie starała się wcale, by go uczynić serdeczniejszym. Kiedy w towarzystwie Alisona i Atkinsa przybyła ze zwłokami brata do B. wuj i ciotka przyjęli ją z prawdziwie gorącem współczuciem, lecz nie odpowiedziano im wzajemnością. Jenny zamknęła się w swojéj żałobie jeszcze szczelniéj niż pierwéj w swojéj dumie; ona i ten smutek swój, podobnie jak wszystko inne znosiła w milczeniu i sama jedna. Doktór i jego żona nie byli w stanie pojąć boleści, która ani dla politowania, ani dla współczucia przystępną nie była, i przekonanie ich o zupełnym braku serca w siostrzenicy, stało się teraz dla nich niezbitym pewnikiem. W saméj rzeczy, była ona zbyt energiczną, zbyt stałą, w sobie zamkniętą ażeby się w krótkim przeciągu czasu odmienić i swemu charakterowi przeniewierzyć mogła. To, co umierającemu bratu w chwili największego wzruszenia okazała, to jest że rzeczywiście miała serce, tego nikomu innemu okazać nie chciała, i co doktór Behrend o Walterze powiedział, to i o niéj najwłaściwiéj powiedziećby należało. I jéj przyszłość zależała także od obcéj siły, i właśnie w krótkim przeciągu czasu rozstrzygnąć się już miało, czy z pełną goryczą powróci znowu do dawnéj swojéj surowości i siły woli, czy też stopniowo przemieni się na taką istotę, jaką dotąd jeden człowiek tylko w niej poznał.

Atkins w ciągu zimy również mieszkał w mieście B. Alison, zabawiwszy tylko dni kilka napowrót odjechał. Czuł on dobrze, że obecność jego nie zdołałaby przynieść żadnéj pociechy dla Jenny, i z tego powodu, powrócił do pierwotnego zamiaru przepędzenia jesieni i zimy we Włoszech i Szwajcarji. Obecnie, zwiedziwszy celniejsze miasta Niemiec wybierał się z powrotem do B. Państwo Stefanowie nic jeszcze nie wiedzieli o stosunkach łączących go z ich siostrzenicą. Jenny nie wspomniała im o tem ani słowa; wiadomo im tylko było, że teraz po skończonym roku podróży w Niemczech, i po osiągniętym jéj celu, powróci do Ameryki, i że wyjazd jéj oznaczony został na początek przyszłego miesiąca, Atkins miał sobie poruczone wprowadzenie i przedstawienie przyszłego krewnego oraz uwiadomienie wujostwa, że Jenny uda się w podróż do Ameryki jako pani Alison, ponieważ uznano właściwszem, ażeby wesele odbyło się w domu jéj krewnych. Przesadzone poszanowanie i wyższość jaką oni zawsze dawali bogactwu panny Forest, wydało teraz swoje owoce. Traktowano ich bowiem jako osoby podrzędne i o najbliższych wypadkach familijnych uwiadomiono dopiero w chwili, kiedy ich potrzebowano do spełnienia postanowionego związku z koniecznemi formalnościami.

Alison przybywszy przed parą godzinami, znajdował się w mieszkaniu Atkinsa, lecz postać jego nie przedstawiała dzisiaj nic z owéj namiętnéj tak pracowicie powściąganéj niecierpliwości, która go niegdyś za pierwszem przybyciem do B. natychmiast do Jenny zagnała i sprowadziła nań szyderstwo jego towarzysza. Stał on teraz tak spokojnie u okna, i wyglądał tak obojętnie na ulicę, jak gdyby go nie czekało żadne upragnione spotkanie.

Młody Amerykanin dzisiaj nie był wcale podobnym do tego, jakim był owéj nocy, kiedy wzburzona namiętność uniosła go po za wszelkie granice. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy miał dosyć czasu zostać znowu samym sobą, i zdawało się też, że mu się to najzupełniéj powiodło. Był on znowu tym umiarkowanym spokojnym kupcem, z zimnym, obliczającym wszystko wzrokiem i konwencjonalną gładkością obejścia; co za niemi było ukryte, a co niegdyś tak groźnie na jaw wystąpiło, ukryło się teraz w najgłębszych tajnikach jego duszy. Twarz jego wydawała się, jak gdyby nigdy żądnego nie znała wzruszenia, jedna tylko rzecz w niéj pozostała, zarys nieprzyjaznej surowości i zimnego okrucieństwa, jaki przy spotkaniu w S. po raz pierwszy na niéj się odbił; był on zawsze jeszcze w jego rysach, a był w nich tak głęboko wyryty, jak gdyby przez całe sześć miesięcy ani na jedną chwilę z nich nie ustąpił.

— Przybywasz, panie Henryku bardzo późno, rzekł stojący obok niego Atkins. Spodziewaliśmy się pana nierównie wcześniéj.

Alison odwrócił się i spojrzał na niego uważnie. Spodziewaliśmy się? Czy pan to mówisz i w imieniu Miss Forest?

Atkins nie odpowiedział wprost na pytanie. Powinieneś pan był pierwéj przybyć, powtórzył uroczyście. Nie wypadało tak wystawiać Miss Jenny na te wszystkie uroczyste objawy tutejsze, które po stracie jaką poniosła, przykremi dla niéj być muszą. Mogliśmy wszyscy troje oddawna już być w drodze do Ameryki.

Henryk wzruszył obojętnie ramionami. Moje plany podróży nie dozwalały na żadną w nich zmianę; zresztą przypuszczałem, że każda chwila zwłoki będzie z wdzięcznością przyjęta. Czy państwo Stefanowie nie są jeszcze zawiadomieni?

— Dotąd nie.

— Dobrze, więc dzisiaj po rozmowie z moją narzeczoną przedstawię im się jako ich krewny. Trzy tygodnie czasu aż do przyszłego miesiąca są dostateczne do spełnienia wymaganych formalności, i zaraz po ślubie puścimy się w drogę. Pan wiesz pewnie o mojem porozumieniu się w tym względzie z Miss Forest?

— Jenny oświadczyła mi tylko, że wszystko pozostawiła uznaniu pana, i że co się tyczy stosownych przygotowań, do niego jedynie mam się odnosić.

— Bardzo dobrze, ja tak postanowiłem, odparł Henryk sucho; zatem bądź pan łaskaw zająć się bezzwłocznie wszystkiem co potrzeba.

Zwrócił się znowu do okna i jak poprzednio zaczął wyglądać na ulicę. Atkins milczał pewną chwilę, lecz nagle położył rękę na jego ramieniu.

— Jutro, panie Henryku, spodziewają się tutaj powrotu pułku. Alison pozostał obojętnym. Wiem o tem.

— I Fernow przybywa także, dodał z pewnym naciskiem.

Henryk spojrzał na niego najspokojniéj. Czy pan wiesz o tem tak dokładnie?

— Przecież on nie opuści przyjęcia, które głównie dla niego urządzają.

— On nie przybędzie! rzekł Henryk zimno. Po tem co między nami zaszło, on nie wejdzie do domu, w którym się moja narzeczona znajduje. Inaczéj, nie znałbym chyba niemieckiego uczucia honoru.

Atkins wpatrzył się w niego z powątpiewaniem. Może być! Nie byłem świadkiem waszéj rozmowy. Pan musisz wiedzieć, czego od niego spodziewać się można. Ale, jeżeli on nawet nie przybędzie... czy pan równie pewnym jesteś Miss Forest?

Henryk nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko złowrogo.

— Pan masz jéj przyrzeczenie to prawda! Ale.... gdyby ona teraz spełnienia jego odmówiła?

— Nie odmówi go.

Atkins nie zdawał się podzielać tego tak stanowczo wypowiedzianego przekonania. Kto wie, czybyś się pan nie omylił? Odparł 'zniechcenia. Jenny wyszła już z tego głuchego na wszystko odurzenia, w jakiem widzieliśmy ją za naszem przybyciem do B. Ona milczy, wprawdzie milczy jak zawsze, ale jestem przekonany, że wszystkie siły jéj duszy pracują teraz nad obraniem jakiegoś postanowienia, a tem postanowieniem, zaręczam....nie będzie ślepe oddanie się woli pana. Rozpatrz się pan dobrze w téj sprawie.

Henryk uśmiechnął się powtórnie, i niemal litościwym wzrokiem zmierzywszy ostrzegającego, powiedział.

— Więc pan sądzisz, że ja byłbym w stanie odjechać i bawić spokojnie całe pół roku, nie zabezpieczywszy się pierwéj na wszystkie strony? Wyzwałem Fernowa, lecz odmówił pojedynku aż do skończenia wojny; teraz słowa złamać nie może, a mnie jako obrażonemu służy pierwszy strzał. Miss Forest wie o tem, a wie również, że go niezawodnie zastrzelę, jeżeli się bezwarunkowo nie podda wszystkiemu co ja postanowię.

Wolno jéj było wybierać wtedy jeszcze kiedy śmierć mojego szwagra spowodowała odroczenie ślubu, i kiedy tak energicznie domagała się odemnie przedłużenia żałoby Zostawiłem jéj dosyć czasu, wiedziałem bowiem że zmiany jéj postanowienia obawiać się nie było potrzeby. Wszakże to idzie o jego życie! Ta obawa krępuje ją więcéj niż dziesięć przysiąg, nie będzie więc miała odwagi sprzeciwić mi się choćby najmniejszem słowem, bo wie za jaką cenę uratować go może.

Atkins prawie ze zgrozą spojrzał na niego. I pan chcesz rzeczywiście tym sposobem jéj rękę uzyskać? Strzeż się panie Henryku! Jenny nie jest kobietą któraby się cierpliwie poświęcić dała, ona zburzone szczęście życia pomści na panu, a ten upragniony miljon posagu okupisz sobie prawdziwem piekłem w domu.

Alison uśmiechnął się ze wzgardą. Bądź spokojny panie Atkins o nasze przyszłe szczęście małżeńskie: zdaje mi się, że potrafię sobie dać radę z moją żoną. Ale, zapewne już czas będzie udać się do doktora Stefana; czy mogę prosić, ażebyś się pan ubrał?

Atkins wahał się jeszcze chwilkę.

Panie Henryku! rzekł prosząc niemal, cokolwiek między wami obojgiem ułożonem zostało, oszczędzaj pan Jenny, ona okropnie cierpiała w ciągu tego czasu!

— A czy ona mnie oszczędzała? zapytał Henryk zimno. Dumna Miss Forest odrzuciłaby mnie jak niepotrzebny ciężar, gdyby przypadkiem inne życie nie było w mojem ręku: teraz ja mam całą władzę ażeby jéj dumę upokorzyć.

Atkins westchnął głęboko wychodząc do przyległego pokoju po rękawiczki i kapelusz. To dopiero będzie małżeństwo! Boże ulituj się nad niemi.

Urzędowa część wizyty w domu doktora odbyła się spokojnie. Alison przywitał pana Stefana i jego żonę bardzo uroczyście; pytania, odpowiedzi, słowem cała rozmowa toczyła się poważnie i Alison nie okazywał żadnéj niecierpliwości, czekając jak najspokojniéj dopóki go Atkins nie zaprowadzi do Jenny, która pomimo, że wiedziała o jego przybyciu, pozostała w swoim pokoju.

I tu powitanie było zimno—grzeczne, po kilku ogólnych słowach o podróży, przybyciu i ostatnich miejscach pobytu, Atkins wyszedł z pokoju, Jenny i Henryk pozostali sami.

Siedziała znowu naprzeciw niego, jak owego czasu, kiedy pierwszy raz prosił o jéj rękę, tylko, że była teraz daleko bledszą, chociaż cała postawa wyrażała dawną siłę woli i energii; głowa śmiało podniesiona, rysy poważne i zimne, oczy hardo patrzące w jego oczy. Nie była to postawa kornéj uległości, Atkins miał słuszność, Jenny pragnęła ostatnią stoczyć walkę. Po co to bezpożyteczne szamotanie się! Przecież ja ciebie nie wypuszczę z rąk moich! myślał w duszy Henryk.

Zapewne Jenny wyczytała tę myśl z jego twarzy, gdyż czoło jéj zachmurzyło się, a usta silniéj zacisnęły. Te dwie istoty, które się wkrótce na zawsze połączyć miały, stanęły teraz nieprzyjaźnie naprzeciwko siebie, jak gdyby szło pomiędzy niemi o walkę na śmierć lub życie. Oboje wiedzieli doskonale, że są równi sobie energją, siłą woli i nieugiętym charakterem, że nie ustąpią sobie ani na jeden krok, że wypadało pokazać czyja wola była silniejszą.

Henryk, uzbrojony zimną lecz grzeczną powagą, odezwał się pierwszy bardzo uroczyście.

— Przychodzę domagać się od pani spełnienia przyrzeczenia danego mi przed rokiem,przyrzeczenia, które tutaj, na tem samem miejscu powtórzone mi zostało. Sądzę, że żałobie po młodym panu Forest, żałobie którą szczerze z panią podzielać chciałem, uczyniliśmy już zadosyć; przychodzę więc prosić panią o stanowcze wyznaczenie dnia naszego ślubu. Pan Atkins żąda dokładnego wskazania mu tego terminu, dla dopełnienia wszelkich wymaganych tutaj przy podobnych obrządkach formalności; pragnę i ja dowiedzieć się ostatecznie o tym terminie, celem odpowiedniego urządzenia naszego wyjazdu. Oznaczyliśmy ku temu pierwsze dni przyszłego miesiąca. Teraz, dzień, godzina, i sposób w jaki obrządek zaślubin naszych ma być dopełniony,pozostawiane są rozporządzeniu pani. Czekam na ostateczne, stanowcze pod tym względem rozkazy pani.

Jenny słuchając téj mowy zaledwie oddychała. Wstęp był doskonale obmyślany i niepodobieństwem było chociażby jednem słowem zaprzeczyć słuszności żądań Alisona. Jednakże nie tak łatwo jeszcze miało mu przyjść spodziewane zwycięztwo.

— Panie Alison, słowo moje pan masz to prawda, i gotową jestem obowiązku mojego dopełnić jeżeli pan wiedząc o wszystkiem co zaszło, masz jeszcze odwagę żądać tego odemnie.

Słowa te i wymowniejszy od nich wzrok dziewicy, nie uczyniły żadnego wrażenia na zimnym jak skała Alisonie, który jak najspokojniéj odpowiedział:

— Dla czego nie miałbym odwagi domagać się ręki, którą mi dobrowolnie przyrzeczono i która dobrowolnie byłaby się stała moją własnością, gdyby nie to... nieprzewidziane zajście które w moich oczach jest rzeczą bardzo... bardzo podrzędną? Miss Forest jest dla każdego zbyt drogim skarbem ażeby go jakimś tam romantycznem marzeniom i popędom poświęcić można. Ja przynajmniéj uczynić tego nie myślę..

— Zapominasz pan o jednéj rzeczy. Głos Jenny zdradzał mimowolnie gwałtowne rozdrażnienie Dotąd pan miałeś władzę dręczenia mnie i spełniałeś to z całą sumiennością, ale od chwili naszego ślubu władza ta w moje przejdzie ręce. Żona może się stać dla męża istnym potępieńcem, jeżeli on zamiast miłości nienawiści ją nauczy. Jeżeli mnie pan do tego związku zniewolisz, ja będę dla niego takim potępieńcem.

Ale i ta nawet, tak stanowczo wypowiedziana groźba, nie zmięszała bynajmniéj zimnéj spokojności Henryka, uśmiechnął się tylko spokojnie, jak się poprzednio uśmiechnął na słowa Atkinsa.

— Nie przypuszczam wcale, ażebyśmy tę romansowość, jaką w nas niemiecka sentymentalność zbudziła, aż na naszą amerykańską ziemię z sobą zabrać mieli. Powietrze tamtejsze nie sprzyja wcale tego rodzaju wybrykom, więc pozostawmy ją tutaj spokojnie. Jestem przekonany, że pani Alison będzie tak świetną przedstawicielką mojego domu, że w towarzystwach naszego miasta, tak niewątpliwie najcelniejsze zajmować będzie stanowisko, jak to niegdyś Miss Forest czyniła: że za to znajdzie około siebie takie grono dobranych osób, które godnem będzie i jéj i jéj męża, mającego nazwisko i położenie, których ona wstydzić się nie może. Małżeństwo nasze nie byłoby nigdy żadną pasterską sielanką, a tragedją teraz również być nie potrzebuje. Jeślibyś pani jednak chciała mieć zamiar, wprowadzić do naszego przyszłego pożycia jakie sceny tragiczne, to chyba sama podjąć się tego raczysz, bo ja najmniejszéj nie mam ku temu skłonności.

Jenny zadrżała na to szyderstwo, czuła ona, że Henryk nie był przystępnym dla niéj z téj strony, i czuła zarazem, że teraz owo dumne: Ja nie chcę! jakie mu kiedyś rzuciła, sowicie jej odpłacał. Nie napróżno to Atkins ostrzegał ją przed tym człowiekiem, który doznanéj obrazy nie zapomniał i nie przebaczał nawet wtedy, kiedy się zdawał nie zważać na nią. Mścił się więc za nią teraz, i Jenny wiedziała, że na żadną litość rachować nie może, zatem przy téj pewności na nowe zdobyła się zaraz siły. Podniosła się nagle i zimno, a rysy jéj przybrały wyraz surowéj pogardy. Bezskuteczność téj ostatniej próby była przecież do przewidzenia, więc miała według swego przekonania inną jeszcze nieochybną broń w pogotowiu.

— Zaczem tę rzecz bliżéj objaśnimy, proszę pana o wysłuchanie jednego wniosku, jaki przedstawić mu pragnę.

Henryk podniósł się także i ukłonił na znak przyzwolenia.

— Wiadomo panu, że po śmierci mego brata jestem jedyną spadkobierczynią wszystkiego co mój ojciec pozostawił. Testament jego uznaje mnie za pełnoletnią, więc mam zupełne prawo rozporządzać całym majątkiem.

— Niezawodnie! Henryk patrzał na nią zdziwiony, nie wiedząc do czego to zmierzało.

— Otóż gotową jestem odstąpić panu cały ten majątek.... za cenę mojéj wolności.

Henryk cofnął się zdumiony, pobladł okropnie, a wzrok jego utonął z dziwnym, zagniewanym wyrazem w jéj obliczu.

Jenny pobiegła szybko do biórka i z leżącéj na niem teki wydobyła jakiś papier.

— W tym celu przygotowałam już co potrzebne; przekonasz się pan z tego pisma, że nic sobie nie zatrzymuję, prócz tego co obecnie znajduje się w mojem ręku. Jest to summa, wystarczająca do czasowego zabezpieczenia mi tutaj w Niemczech pewnego bytu, summa bez żadnego znaczenia w porównaniu z tem, co dla pana przypadnie, uprawnienie tego mojego postępku może bezzwłocznie nastąpić, skoro tylko pan się zgodzisz. Rzecz naturalna, że to pozostanie w tajemnicy dla ludzi obcych. Co tylko posiadam, wszystko panu oddaję, tylko pozostaw mnie wolną!

I podała mu papier. Henryk przyjął go w milczeniu i w milczeniu czytał, ale twarz jego stawała się coraz bledszą, a papier chrzęścił dziwnie w jego palcach; nareszcie złożył go powolnie na biórku i ręce na krzyż założył.

— Przedewszystkiem, proszę Miss Forest, zmienić ten ton, w jakim pani do mnie przemawiasz. Człowieka, w którego ręku cała przyszłość nasza zostaje, nie traktuje się z taką ...pogardą.

Jenny zarumieniła się nagle, głos jéj zdradzał mimowolnie, co ona czuła przedstawiając powyższy wniosek, jednak w téjże saméj prawie chwili była już znowu panią siebie.

— Nie widzę dla czego my oboje, mielibyśmy się jeszcze okłamywać. Pan ubiegałeś się o mój majątek i nie chcesz teraz wypuścić ręki, do któréj on jest przywiązany. Ja uwalniam pana od uciążliwego dlań dodatku, a siebie od nienawistnego dla mnie związku. Pan dosyć jesteś kupcem, by korzyści takiego wniosku ocenić, ja zaś dosyć długo żyłam w Ameryce, ażeby tameczne pojęcia i stosunki należycie rozumieć.

Jenny nie domyślała się nawet, jak straszną grę w téj chwili rozpoczęła i nie dała się również ostrzedz przez ten cichy syczący głos, jaki jednocześnie z ust Henryka się wydobył, głos zupełnie podobny do tego, jaki on wydał owego wieczoru, kiedy jej rozmowę z Walterem podsłyszał; spokojność jego zwodziła ją.

— Wątpię o tem Miss Jenny, dla tego tylko, że wniosek pani jest zanadto.... niemiecki! W naszym kraju nie odrzuca się miljonowego majątku, dla uniknienia niemiłego sobie związku. Zresztą, sądzę, że pani nie masz dosyć jasnego pojęcia o tem, czem to może być dla ciebie, wychowanej śród dostatków, życie ubogie.

Jenny podniosła głowę dumnie. Mój ojciec był także niegdyś ubogim, i nie namyślał się wcale, by swoje stanowisko w świecie i przyszłość poświęcić temu, co się dla niego wolnością zwało; oddaję jego bogactwo za moją wolność!

— Doprawdy? Henryk utkwił badawcze w nią spojrzenie, a w głosie jego odbiło się gorzkie szyderstwo. I oprócz tego, myślisz pani jeszcze, że w potrzebie będzie można i z profesorskiéj wyżyć pensyjki! Pozwól mi pani zapytać się, czy pan Fernow ma jaki udział w tem romansowem postanowieniu? Inaczéj bowiem, radzę pani, nie zbyt wiele liczyć na jego idealność bohaterską. W jego romansie była posażna panna, zatem uczucia jego mogą łatwo ostygnąć, gdy ta bohaterka stanie przed nim ubogą.

Oczy Jenny ciskały iskry gniewu, zapomniała już o wszelkim rozsądku, zapomniała jak pewnego razu ciężko już pokutowała za obrazę tego człowieka; szyderstwo jego pozbawiło ją przezorności.

— Takich ludzi, panie Alison nie przymierzaj do siebie! Walter Fernow nie jest tobie równy.

Tego było już za wiele! Straszna, zabijająca pogarda jéj słów zdarła nareszcie maskę, którą przed sobą i przed nią osłaniał dotąd swą obojętność. Henryk zaciął usta, przez chwilę panował jeszcze nad wybuchnąć mającą burzą, ale trwało to bardzo krótko.

(d. c. n).

Dalszy ciąg opisu N. 21.

N. 17. Garnirunek z wązkich falban, wycinanych w okrągłe zęby.

(Do ryc. 6 i 20.)

Marszczone, skośne falbany, są u dołu ciemniejszą pliską objęte, przyszywa je się w ten sposób, ażeby cokolwiek jedna na drugą zachodziły. Podwójny nagłówek układa się w rurki, z których każda jest osobno przymocowana do spódnicy. Plisa ciemniejszą wypustką objęta, łączy dwie części garnirunku. Taki garnirunek użyty być może i do białych spódnic pod kostiumy.

N. 18. Dwojakie plisy z zaszytym sznurem.

Na takie plisy bierze się dwa gatunki materji w jednym kolorze, albo dwa cienie w jednym gatunku. Gruby sznur zastębnowany w środek, służy do uwydatnienia garnirunku.

N. 19. Garnirunek z mięszanych plisek.

Na wzorze pliski układane są naprzemian z kaszmiru i rypsu w grube prążki. Można jednak taki garnirunek urozmaicać, mięszając cienie i różne gatunki materyi.

N. 20. Tiunika i stanik z baskiną.

Przy żółtawo-piaskowéj sukni wełnianéj, garnirunek jest z jasno brązowego materjału. Ciemniejsze kokardy ładnie przystrajają stanik z baskiną, zapinany z przodu na guziki. Jasny wolant przy staniku i tiunice objęty ciemną wypustką ma 5—6 c. szerokości; w górze przyszyty jest ciemną plisą $2\frac{1}{2}$ cent. szeroką. Przy przednim brycie tiuniki dodana druga ciemna falbanka. Kołnierzyk ciemny falbaneczką oszyty, z tyłu ma formę marynarską, a z przodu jest ranwersem zakończony.

Wolant skośny na wązkim rękawie naszyty, ma 73 cent. obwodu a 13 cent. szerokości; od spodu ręki przy zeszyciu, głęboka założona fałda, zwęża go do $8\frac{1}{2}$ cent. Jest on u dołu zakończony plisą a w górze podwójną ciemniejszą falbanką, takąż pliską przeszytą. W bufy podpinane tylne bryty tiuniki na zeszyciu z brytem przednim, mają dodany garnirunek ułożony w kształcie wachlarza. Spódnica kostiumu może być tego co tiunika koloru, garnirowana podług N. 17, albo zupełnie gładka z materjału w paski piaskowe i brązowe.

N. 21. Tiunika i kaftanik do kostiumu.

Tiunika i kaftanik z czarnego kaszmiru albo rypsu wełnianego, stanowi stosowne spacerowe dopełnienie, do każdéj kolorowéj sukni. Garnirunek z plis i frendzli nadaje się zarówno do sukien z plisami, jak i do oszytych wązkiemi falbankami. Kaftanik trochę wcinany, ma z przodu 46, z tyłu 56 cent. długości. Rękawy podług fig. 5 (arkusza z formami do N. 18—19 Tygodnika) przykrojone, mają do zwierzchniéj połowy dodany klin osobny w fałdy założony i kokardą przy łokciu przepięty. Potrzeba na niego kawałka 28 cent. długiego, u dołu 23 u góry 9 c. szerokiego. Garnirunek stanowią plisy jedwabne rypsowe $2\frac{1}{2}$ i 3 cent. szerokie, wypustką atłasową oszyte, w górze koronką fałdowaną, 2 cent. szeroką, ogarnirowane. Plisa koronką oszyta, z przodu puklem i spiczastym końcem zakończona, przyszywa się z przodu podług wskazanego wzoru, a na plecach nakształt szelek sięga do pasa.

Kokardy z materyi rypsowéj, podszywa się muślinem i obejmuje z brzegów atłasem. Kołnierzyk stojący 1 c. szeroki, w górze atłasową wypustką objęty, ma dodaną u dołu pliskę podwójną $\frac{3}{4}$ cent. szeroką, oszytą koronką marszczoną. Tiunika (któréj forma jak do ry. 31 w N. 18 Tygodnika) oszyta jest plisą 7—8 cent. szeroką i frendzlą w kwasty wiązaną.

N. 22. Teka w stojącéj oprawie.

Haft kolorowy z podkładaniem aksamitu.

W stojącym, pięknie rzeźbionym postumencie z ciemnego drzewa, umieszczona jest teka o kilku przegródkach, z okładką ozdobioną robotą ręczną. Postument ma 56 cent. wysokości, a 44 szerokości. N 23 przedstawia w naturalnéj wielkości, większą połowę deseniu, odrobionego na blado żółtym rypsie. Aplikacje czarnego aksamitu, przyszyte są sznurkiem złotym, przeszywanym nitką czarnego jedwabiu. Kwiatki odrobione są kolorem paljowym, z dodaniem niektórych ściegów nitką złotą. Arabeska i szlaczki odrobione być mogą kordonkiem żółtym albo czarnym z dodaniem nitki złotéj. Można także na tło użyć sukna czarnego, fijołkowego lub białego, a haft dać kolorami zielonym, maisowym i czarnym, brązowym ze złotem lub t. p. Ściegi haftu wyraźnie wskazane są na deseniu.

N. 24. Muślinowy czepeczek.

Okrągły czepeczek stosowny do każdego wieku, ogarnirowany jest w dyjadem, dwiema muślinowemi falbankami, oszytemi koronką, które układa się w kontrafałdy. Nad czołem między garnirunkiem przechodzi wstążka w rulonik zwinięta i kokardą zakończona z boku. Puszczone muślinowe szarfy, oszyte są koronką.

N. 26. Kapelusz okrągły z podwiniętem rondem.

Gładko koło główki opasana wstążka, zakończona jest z tyłu kokardą z długiemi końcami. Taka forma i ubranie najwłaściwsze dla młodziutkich panienek.

N. 27. Okrągły kapelusz z płaską główką i dużem opuszczonem rondem.

Kapelusz taki pleciony z białéj lub kolorowéj słomy dobrze zasłaniający twarz i głowę i zastępujący parasolik, najwłaściwszy jest do spacerów na wsi, i służyć może zarówno dla dzieci jak i starszych osób. Sposób wycięcia ronda i ubrania, widoczny jest na rycinie.

N. 28. Kapelusz okrągły z główką wysoką.

Forma ta bardzo jest zbliżona do męzkich cylindrów. Małe w górę wywinięte rondko, objęte jest aksamitem, bardzo szeroka rypsowa wstążka fantazyjnie ułożona jest koło główki, a z tyłu spuszczone długie siepaną frendzlą zakończone szarfy. Sute pióra przypięte od tyłu w górę na główkę.

N. 29. Płaski chiński kapelusik.

Od Chińczyków i Japończyków zapożyczona forma kapeluszy, zaczyna się coraz więcéj upowszechniać, bo młodym i świeżym twarzyczkom jest w nich bardzo ładnie, chociaż nadają pewien wyraz kokieterji. Takie kapelusze nie są plecione, tylko robione ze słomy spłaszczonéj, układanéj jedna koło drugiéj i przestębnowywanej. Tania ich cena zagranicą, bo zaledwie dochodząca talara, zapewnie wpływa na upowszechnienie. Dzikie róże i kokardy z pięknéj wstążki czarnéj przypięte są na główce, a długie końce spadają z tyłu.

N. 30. Kapelusz do wiązania z djademem.

Forma ta poprzednio tylko do kapeluszy krepowych i tiulowych używana, obecnie wyrabiana bywa i ze słomki. Przy tiulowych foremka pokrywa się gładko, a djadem układa ze wstążki. Koronka, kwiaty, wstążka i woalik, stanowią ubranie.

N. 31. Okrągły kapelusz tiulowy.

Owalna foremka z nie zbyt wysoką główką, pokrywa się lekko i przejrzyście, koronkowym w bufy układanym tiulem. Romiędzy pióra, kwiaty i wstążki, wpięty woalik w tył spuszczony, który następnie przypina się różą z boku do włosów.

N. 32. Kapelusz z bufowaną główką.

Powyższy fason ma rondko plecione ze słomki, a główkę ułożoną z czarnego, koronkowego tiulu w wysoką bufę, na białym sztywnym tiulu. Czarne koronki, kwiaty i pióra służą do ubrania. Brzeg rondka objęty czarnym aksamitem; z przodu nad czołem przypięte długie pióro.

N. 33. Kapelusz na wiejskie spacery.

Upleciony z łyczka kapelusz, pokrywa się muślinem tarlatanem albo tiulem. Riusza przy rondku i główce wycina się z brzegów w ząbki, albo przewleka kolorowym jedwabiem, i środkiem przeszywa wązką aksamitką. Przez wierzch główki przepasana wstążka, służy do związania kapelusza z przodu albo z tyłu. Forma ta wprawdzie nie jest bardzo powabną, ale za to osłania dobrze od słońca, jest lekka i dogodna przy zajęciach w ogrodzie i swobodnych spacerach



N. 1. Suknia z podpiętem vêtement; układ podpięcia patrz N. 23.

N. 2. Ubranie z tuniką i kaftanikiem. Forma kaftanika na arkuszu z krojami N. XX. Fig. 43—45.

N. 25. Ubranie głowy panny młodéj.

Z tyłu głowy upięte warkocze, z przodu wieniec ślubny ułożony w djadem. Welon z iluzyjowego tiulu.

wiejskich. W przeszłym już roku podobna forma bardzo była zagranicą na wsi upowszechnioną.

N. 34. Kapelusz do jazdy konnéj.

Do konnéj jazdy ciągle używane są kapelusze cylindrowe, a zręcznie upięty długi woalik gazowy lub tiulowy, dodaje im trochę lekkości.

N. 35. Upięcie na głowę z woala dla młodéj mężatki.

Duży kwadratowy woal, nie mniéj nad 1 metr. w kwadrat trzymający, stanowi bardzo ładne okrycie głowy. Jeden róg może na twarz być opuszczony, albo odłożony w tył i przepięty kokardą; dwa biorą się naprzód, a ostatni spada na plecy. Młode osoby potafią tworzyć z niego rozmaite fantazyjne malownicze upięcia.



N. 3. Wiązany kapelusz z woalem.

Opisy do N. 22.

N. 1. Ubranie spacerowe.

Jasno popielata wełniana suknia z Vêtement podpinanem z boków, oszyta jest u dołu, skośną marszczoną falbaną, 19 cent. szeroką. Wyżéj idą dwie fałdowane falbanki, 11 i 9 cent. szerokie, w górze zakończone wstawką gipiurową 5 cent. szeroką, oszytą z brzegów podwójną popielatą wypustką. Gipinrową wstawkę zastąpić można wyszyciem z jedwabnego sznurka lub sutaszu. Z przodu na spódnicy naszyty jest fartuszek okrągły wstawką, plisowaną falbanką i koronką wełnianą, lub marszczoną falbaną. Plisowanie ma 6 a falbana 7 c. szerokości. Vêtement z przodu otwarte, z boków podpinane, oszyte jest plisowaniem i wstawką lub wyszyciem; plisowanie ma u dołu 5 cent. a z przodu ku górze jest do 3 cent. zwężone. (Forma dodana do ryc. 32 w N. 19 Tygodnika, służy także do Vêtement obecnie podanego.) Wązkie rękawy oszyte są dwoma zachodzącemi na siebie plisowaniami; bretelki luźne tylko do paska przyszyte, całe pokryte są wstawką, zakończoną podwójną wypustką. Ry. 23 w N 22 podaje z tyłu rysunek takiego Vêtement, zastosowanego do sukni wizytowéj.



N. 6. Podróżne ubranie z tuniką i kaftanikiem. Plecy i odmiana garnirunku do ryciny 2. Patrz ryc. 18.

N. 2 i 6. Kaftanik do figury z wykładanym kołnierzem i klapkami.

Garnirunek ryc. 57—58 w N. 23 Tyg. Krój w dodatku Fig. 49—55. Miara połowy objętości w górnéj części stanu, 53 cent.

Kostium odrobiony z popielatego płótna nie dotyka ziemi. Tiunika z boków podpinana, ukrojona jest podług formy N. III na arkuszu dodatkowym do N. 18 i 19 Tygodnika, a kaftanik z kieszonkami, kołnierzem wykładanym i wyłogami podług N. XX obecnego arkusza. Kołnierz i wyłogi oznaczone na Fig. 49 krają się podwójnie, do jednego przodu, od spodu, przyszywa się podłożenie dopełniające przody, na które formę podaje fig. 53. Garnirunek stanowią proste rzędy wyszycia, podług wzoru 57 w N. 23 Tygodnika (odrobione bawełną białą kręconą w maszynie Growera. Ryc. 58 podaje inną próbkę garnirunku odrobioną ręcznie, sciegiem łańcuszkowym przekręcanym.



N. 5. Torebka ręczna z szarego płótna z przystębnowanemi arabeskami ze skóry. Krój i rysunek na arkuszu z krojami N. XXXII Fig. 89—90.

Garnirunek do ryc. 2 stanowią plisy wyszywane 8, 6, i 4 rzędami prążków łańcuszkowych, które przy spódnicy mają 14, przy tiunice 6½ a przy kaftaniku na haftki zapinanym, 4 cent. szerokości. Gęsto naszyte białe rogowe guziki, dopełniają przystrojenie kaftaniczka i rękawów, oraz służą do zamocowania podpięcia tiuniki.

Rycina 6 przedstawia z tyłu kostium tejże formy, z tą odmianą, że spódnica jest gładka w kolorze ciemno popielatym, a tiunika i kaftanik jasniejszy, oszyte są szlakiem odrobionym podług próbki N 18 w N 22 Tygodnika. Tiunika mieć powinna z przodu 66, z tyłu 88 cent. długości, a 300 cent. dolnego obwodu.

N. 3. Kapelusz wiązany z woalką z tyłu przypiętą.

Kapelusz z cienkiéj białej brukselskiéj słomy, ma rondko objęte czarnym aksamitem. Kokardy i długie końce do wiązania, są ze wstążki rypsowéj majowego koloru 6 cent. szerokiéj. Na rondku suto upięte drobne białe kwiaty, czarne jagody i piękne zielone liście.

N. 4. Kapelusz okrągły z kwiatami, wstążkami i koronką.

Koło główki kapelusza białego, z cienkiéj angielskiéj słomy, upięta jest czarna rypsowa wstążką 6 cent. szeroka; długi spuszczony koniec oszyty jest koronką czarną 4 c. szeroką, do połowy z jednéj, a daléj z drugiéj strony nie przecinając lecz środkiem przeprowadziwszy koronkę. Wstążka z koronką, kwiaty habru i kłosy zboża, upięte są fantastycznie.

N. 5. Worek podróżny

z płótna szarego z wyszyciem ze skóry.

Materjał: Mocne szare płótno, skóra juchtowa. Wstążeczka 1 i pół cent. szeroka, kordonek i jedwab w kolorze pąsowym, sztywna tektura, 2 małe mosiężne obrączki, 1 guziczek i sznurek średniéj grubości. Podług fig. 89 kraje się podwójnie z płótna dwie połowy woreczka, dając między płótno sztywną tekturę. Wielkość woreczka może być dowolnie powiększoną. Środkowy pas na zwierzchniéj połowie wycina się à jour ze skóry, odrysowawszy poprzednio z lewej strony deseń na Fig. 89a, podany, przebija się w brzegach równe dziurki, służące do ostębnowania skóry, skosem wązkim płóciennym, kordonkiem pąsowym. W odstępie ¾ cent. od tego szlaku daje się paski ¾ cent. szerokie z jednéj strony w zęby wycięte, płótnem objęte i ostembnowane.

Podług fig. 90 przykrojone podwójne pasy płótna, między które kładzie się sztywny papier, a stronę prostą ostębnowywa pąsową wstążeczką, stanowią ściany woreczka. Pojedyncze części zeszywa się mocno i obejmuje pąsową wstążeczką. Dwa sznurki oszyte w skórę, przewleczone przez kółka mosiężne i węzłem połączone na środku, stanowią ucho. Zasuwka skórzana 1 cent. szeroka, przykrywa zeszycie sznurków.

Na jedwabnych sznureczkach wiszące 7 kwastów, robi się z kawałków skóry, drobno nacinanych, zwiniętych i jedwabiem okręconych. Guziczek mosiężny i jedwabna pentelka służy do zapinania.



N. 4. Okrągły kapelusz ze wstążka, koronką i kwiatami.

N. 6. Daszek do zasłaniania oczów.

Krój w dodatku Fig. 91.

N. 7. Ubranie spacerowe
z vêtement i pelerynką.

Do sukni jasno popielatéj z moheru użyty jest na plisy w zęby wycięte, materjał ciemniejszego odcieniu. Plisy te objęte są jaśniejszą wypustką i oszyte wązką popielatą koronką. Wolant marszczony 38 cent. szeroki, zakończony jest w górze pliską podwójną 5 cent. szeroką z ciemniejszemi wypustkami i koronką. Zęby ciemniejszéj plisy mają 11 cent. wysokości i 21 cent. szerokości, jak widzimy dolne zęby plisy są jeszcze w małe, płaskie, okrągłe ząbki wycinane. Przy vêtement, pelerynce i rękawach zęby mają 4—7 cent. wysokości i 8 — 15 cent. szerokości. Vêtement w górze podpinane na 5 guzików i pentelek, kraje się podług formy dodanéj do ryciny 32 w Tygodniku N. 19. Do peleryny służyć może forma dodana do ryc. 24 i 25 w N. 19 Tygodnika. Każda z dwóch części peleryny mieć powinna 80 cent. szerokości dolnéj, 31 cent. długości z przodu, a 50 cent. z tyłu, szarfy i pukle przypięte przy wykroju szyi z tyłu do peleryny, mają 4 i pół cent. szerokości a 224 cent, długości. Są one z ciemniejszego materjału, w koło wąziutką koro-



N. 7. Spacerowe ubranie z vêtement i pelerynką.

neczką oszyte. Dwa duże guziki ciemnym materjałem objęte i koroneczką w koło oszyte, przyszyte są na wcięciu stanu z tyłu.

N. 8. Spódnica

obłożona aksamitem i stębnowana w maszynie.

Dolna szerokość takiéj spódnicy, nie powinna przenosić 250 cent. Model jest z czarnéj wełnianéj materji, danéj podwójnie, między którą od dołu na 33 cent. wysokości, dana jest cienka wata i muślin, z wierzchu zaś naszyta plisa aksamitna 26 cent. szeroka, w górze w arabeskowe liście wycięta. Stębnówki i deseń wyszyte są w maszynie jedwabiem fijołkowym. Przednie bryty wszyte w pasek bawełniany, oprócz którego w koło spódniczka oszyta jest listewką do nawłóczenia. Takie spódniczki szczególnie użyteczne są w podróży i w niepogodę.



N. 8. Pikowana spódnica z obłożeniem aksamitnem.

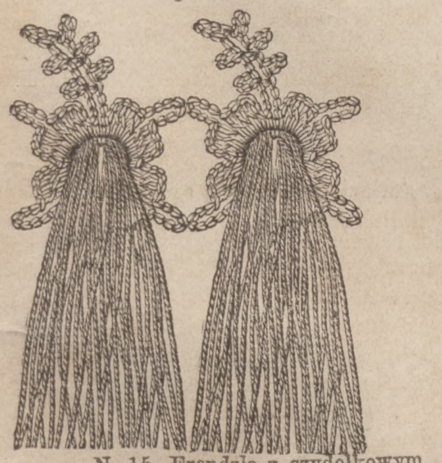


N° 9. Sztywna spódnica podszywana sznurami Patrz rycina 10.

N. 9—10. Sztywna

spódniczka naszyta sznurami.

W miejsce krynolin używane są także zwłaszcza dla młodych osób spódniczki z zaszywanemi sznurami, które krajać należy podług dobréj, niezbyt szerokiéj formy. Model jest z wełnianego popielatego materjału, na dość sztywnéj podszewce tego samego koloru. Grube, równe kręcone sznury, przystębnowane są jedwabiem pąsowym. Takimże jedwabiem przystębnowują się skośne plisy, dane między sznurami. Ryc. 10 podaje próbkę takiego naszycia, przy którem podszewka powinna być zupełnie gładko rozciągnięta, wierzch zaś naszywa się wypukło, podług grubości sznura.



N. 15. Frendzla z szydełkowym nagłówkiem.

N. 11—13. Biała spódnica pod kostium.

Podług zwykłéj formy spódnicy do kostiumu, kraje się spódniczkę z białego perkalu, mającą dolnego obwodu 230—250 cent.

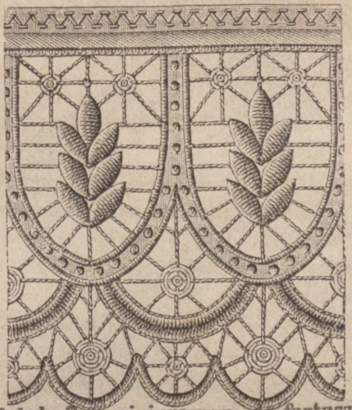
Garnirunek zajmujący 20—25 cent. szerokości, składa się z plisek pikowych lub rypsowych i ząbków z plecionki, układanych podług wzoru N. 12. Daleko bogatszy i strojniejszy garnirunek, układany z batystowych plisowanych falbanek, haftowanych wstawek i plisek skośnych, u góry w ypustką ze sznureczkiem zakończonych, podajemy pod N. 13. Garnirunek ten ma 25 cent. szerokości, a górna wstawka jest z brzegów naszyta ząbkami z tasiemeczki.

N. 14. Spódnica do sukni z trenem.

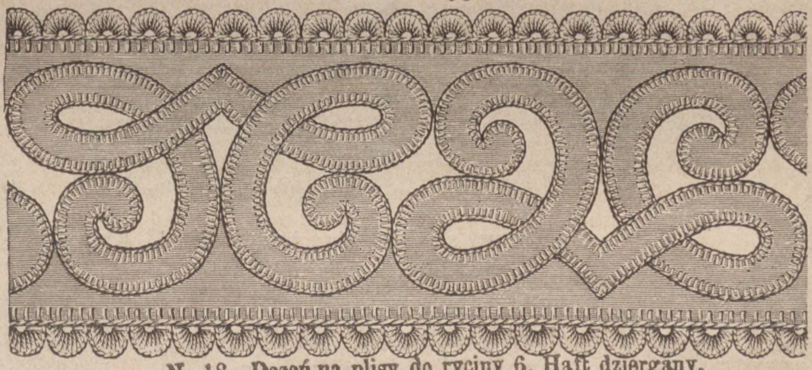
Spódnica przykrojona podług formy powłóczystéj sukni, powinna długością do niéj być zastosowana. Gar-



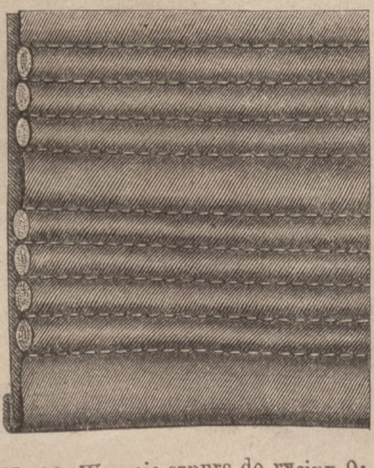
N. 14. Spódnica do sukni powłóczystéj.



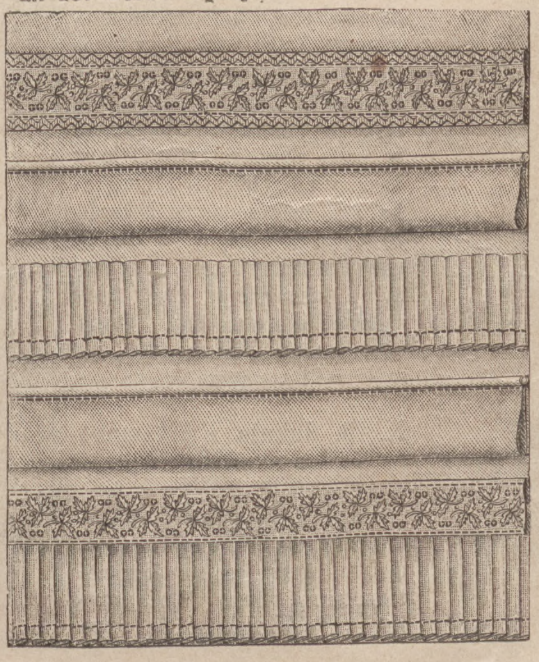
N. 17. Szlak haftem gipiurowym do fartuszka rycina 29 w N. 23 Tyg. Mód.



N. 18. Deseń na plisy do ryciny 6. Haft dziergany.



N. 10. Wszycie sznura do ryciny 9; wielkość naturalna.



N. 13. Garnirunek do spódnicy. Plisy, falbanki plisowane i haft.

nirunek składa się z pięknych haftowanych wstawek i szlaczków, falbanki batystowéj i plisek stębnowanych.

N. 15. Frendzla w kwasty z nagłówkiem szydełkowym.

Każda figura nagłówka zaczyna się kółkiem szydełkowym z o. 12 około którego daje się: * 1 o. ści. 3 o. po. 3 słup. 5 o. p. 3 sł. Powtórzyć od * jeszcze 3 razy; potem na górną gałązkę listków 2 o. po: 4 pikoty, przedzielane 1 o. po. znów 2 pik. z boku, połączone podług wskazania na wzorze z poprzedniemi, i 2 o. po. Łączenie figur dopełnia się przy odrabianiu 5 o. powietrznych.



N. 11. Biała spódnica pod kostjumy. Patrz garnirunek rycina 12 i 13.

N. 16. Frendzla wiązana z szydełkową torsadą.

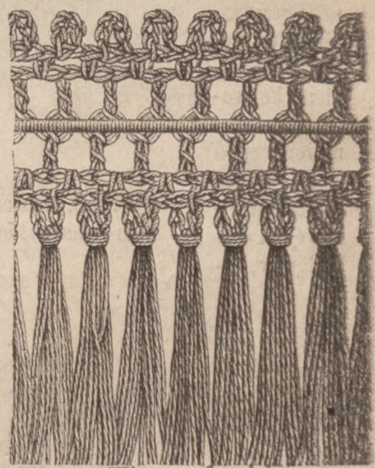
Torsada robi się z nici kręconych, w kolorze écru lub szarym, przy białéj bawełnianéj plecionce mignardise, a frendzla wiązana dodaje się z białéj bawełny. Robota torsady tak jest łatwa i wyraźnie odrysowana, iż opis był by zbyteczny. Taka frendzla stanowi bardzo właściwe przystrojenie do sukien z żółtawego lub niewarowego batystu, albo z piki écru lub białéj.

N. 17.

Szlak. haftem gipiurowym do fartuszka ry. 29 w N 23 Tyg. Mód.

N. 18 Szlak do ry. 6.

Robota dziergana i frywolitki zwane węzłami Józefiny.



N. 16. Wiązana frendzla z szydełkowym nagłówkiem.

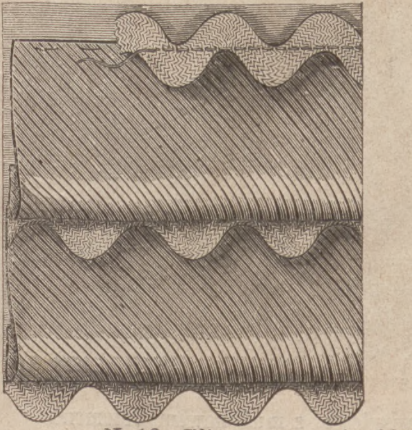
N. 19. Kapelusz okrągły z upiętym woalikiem.

Kapelusik formą małéj pameli, ma rondko objęte aksamitem, cały zaś jest pokryty naprzemian aksamitką czarną 1 cent. szeroką i wstążką cielistego koloru, takiéj saméj szerokości. Wstążka w kolorze hawana, 10 cent szeroka, owinięta jest koło główki, związana z boku na kokardę ze spuszczonemi końcami, długości 34 — 38. cent. Na wierzchu główki, upięty jest woalik z gładkiego czarnego tiulu jedwabnego, mający 75 cent. szerokości a 95 cent. długości. Brzegi woalika oszyte koronką 3 cent. szeroką. Z boku przypięta gałązka maku, rumianku, i jagód czarnych.

N. 20. Kaftanik spacerowy ze szlakiem wyszywanym.

Dla dziecka od lat 2—4. Krój na arkuszu z formami N. V Fig. 10—13.

Flanelka kolorowa lub pika biała albo écru, właściwa jest na podobny kaftanik. Deseń szlaczku podany pod ryciną 64 w N. 23 Tygodnika. Do wyszycia kaftanika użyć trzeba jedwabiu lub włóczki czarnéj lub w tem co flanelka kolorze, ciemniejszego cieniu. Na materjale zwanym pika, odrobić go można pąsową lub białą kręconą bawełną, albo jedwabiem czarnym nie puszczającym w praniu



N. 12. Plisy repsowe i ząbki z plecioneczki do ry. 11. Wielkość naturalna.

N. 21 i N. 52 w N. 23 Tygodnika.

Płaszczyk z pelerynką dla panienek od lat 4—8.

Krój N. XXII fig. 60—62 na arkuszu z formami.

Model odrobiony jest bez rękawów. Plecy zeszywają się tylko od *e* do *f*. a boki są także przecięte od dołu. Wyszycie nad zębami, odrobione ściegiem sznureczkowym w maszynie, włóczką brązową na szarym tle sukienka. Przednie brzegi płaszczyka wyszyte prosto sciegiem sznureczkowym.

Przy ryc. 52 w N. 23 Tygodnika, płaszczyk oszyty jest szlakiem z sukienka ciemniejszego cieniu, wyciętym w ząbki w maszynie, a powyżéj wyszyciem ze sznura; kokardy z końcami przy pelerynce są z rypsowéj wstążki.

N. 22. Stanik gorsecikowy dla młodéj panienki.

Krój na arkuszu z formami N. XXI fig. 56—59.

Gorsecik z baskiną ślicznie ubiera młode osoby; przykroić go można z czarnego kaszmiru lub materyi jedwabnéj i przy takiejże tiunice nosić do sukien kolorowych ze stanikiem pod szyję. Do białéj muślinowéj lub białéj w kolorowe paski sukni, ładnie odbija gorsecik kolorowy z plisowaną szmizetką i bufowanemi muślinowemi rękawami. Przy przodach zapiętych na guziczki i od dołu przez środek pleców, zaszyte są fiszbiny. Na plecach w pasie przy zaszyciu fałdów baskiny naszyte guziki, ramiączka zaś połączone są kokardą ze wstążki. Gdyby w miejsce riuszy z materyi, gorsecik ubrany był pasmanterją, na ramionach w miejsce kokard, wypada użyć rozety z pasmanterji, ze sznurami i kwastami.

N. 23. Suknia z Vêtement z muślinu.

Do gładkiéj, powłóczystéj jedwabnéj sukni, ze stanikiem wyciętym, bardzo modne jest vêtement muślinowe. Wzór przykrojony jest i upięty tak samo jak na ryc. 1 ogarnirowany muślinowem plisowaniem i wstawką koronkową na kolorowem podłożeniu, z brzegów oszytą podwójną kolorową falbanką z materji. Bretelki kokardą do paska przypięte, są z takiéj jak suknia materji, pokrytej wstawką koronkową w kształcie patek; zaokrąglone końce oszyte są plisowaniem. Rękawy składają się z bufek jedwabnych i rękawów muślinowych ze wstawką i podwójnem plisowaniem u ręki.

N. 24. Suknia z haftowanemi falbankami.

Deseń na falbany ryc. 62—63 w N. 23 Tygodnika.

Cokolwiek powłóczysta suknia i podpinana tiunika są koloru écru. Spódnica zakończona wolantem plisowanym 17 cent. szerokim, pod który daje się muślin sztywny. Na plisowanie zachodzi wolant skośny marszczony 19 c. szerokości, zakończony u góry nagłówkiem, u dołu zębami dzierganemi i haftowanemi Tiunika kraje się podług formy do ryc. 32 w N. 19 Ty. Mód. Falbana skośna przy niéj, ma 9 cent. szerokości. Karoczek przyszyty do paska układa się z prostego, w końcach zaokrąglonego kawałka, mającego 52 cent. szerokości, a 22 cent. długości.



N. 19. Okrągły kapelusz z woalem.



N. 20. Kaftaniczek przybrany haftem. Krój na arkuszu N. V, Fig. 10—13.



N. 21. Kaftanik z pelerynką ozdobiony haftem.



N. 22. Gorsecikowy staniczek dla młodéj panienki. Krój N. XXI, Fig. 56—59.



N. 23. Ubranie wizytowe z muślinowem vêtement.



N. 24. Suknia przybrana haftem. Deseń na arkuszu z krojami Fig. 98.